



ODGŁOSY

► LENIN I SZTUKA — Jadwiga Łużyńska-Dorobowa ► LICZY SIĘ NAUKA — Włodzimierz Stokowski ► A JEDNAK ŻYCIE — Napoleon Mitraszewski ► NASI OLIMPIJCZYCY ► RÓWNANIE W GÓRĘ — Jan Rek ► WYSOKA GORĄCZKA — Krzysztof Pogorzalec ► NIE BYŁO PUSTEGO ROKU — Ewa Nurczyńska ► POCHWAŁA STYLU — Maria Kornatowska ► CZEGO NIE MA? — Tadeusz Szczepański ► CZEKA NAS NIEUSTAJĄCA PRACA — Tomasz Kiesewetter ► NAGI FAKT — Jerzy Wilmański ► WIĘZIENIE — Georges Simenon ► RECENZJE ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► POLEMIKI ► SEX W LITERATURZE ►

RYSZARD BINKOWSKI

WYKŁĘCI Z CZERWONEJ WYSPY

Było tak, że ludzie palili w piecach zieloną choinę, skąpo wydzielaną z dziedzicowego lasu i całymi tygodniami żywili się pieczonymi na blasze podplomykami. A jak u Kapelów w 37 zachorowała matka, ojciec sprzedał krowy, żeby ją utrzymać przy życiu, bo doktor nie patrzył, że w chałupie ośmioro robotwa wyciąga rękę do chleba, więc przednówek tak zaskrobał pazurami do drzwi, przypilił, że dzieciaki musiały wysypywać z przekwitłego żyta czarne ziarenka i sprzedawać w aptece, aby za uzyskany grosz kupić trochę kartofli; wagowy był czujny i chciwy, mierzył co c'o deka, nawet jednego kartofla potrafił ująć, bo szalki musiały stać równo.

W Woli Wydrzynie siedział dziadek Pleśzczyński poseł na Sejm, byli dziedzice w Ostrołęce, Stróży, Żeleńcu; Kobyłecki ze Skąpej miał ośm małątków, gdy rozmawiał z chłopem, ustawiał go w odległości sześciu kroków, żeby nie śmierdziało, jego żona jeździła do Rzymu po ziemie świętą, bo w tej dziedzicowej było za dużo fornańskiego potu.

Ten z Żeleńca, Lichodzielewski, bawił się i hulał, więc go chcieli rozparcelować za podatki, ale bo to miał kto grozić na kupno splachetki gruntu? We wsi dwa większe gospodarstwa, a reszta drobniactwo, gdzie na kilku morgach gnieździły się wielodzietne rodziny, nawet takie, w których było kilkanaścioro dzieci. Przeludniona wieś, z wiosną wychodzili z niej „bandochy” i ruszali na Saksy, bo granica blisko.

Szły całe rodziny, lecz trzeba było, lat, aby dochrapać się trochę grosza i coś kupić. Trwała ta wędrówka ban-

doska, ludzie przemierzali pieszo setki kilometrów, szczęście sprzyjało nielicznym. Trochę ziemi nabył stary Kołaczek i Kłajza, ale taka Kubikowa niewiele zyskała, chociaż dwięć lat przetrwała u bambrow. Za sześćdziesiąt fenigów dziennie podczas zimy i markę dwadzieścia fenigów latem.

Ani Bóg, ani rząd nie litowali się nad tą ludzką biedą i pewnie dlatego ludzie zaczęli patrzeć w trzecią stronę, a ksiądz Cwilong miewał niespokojne, diaboliczne sny, gdyż BOGUMIŁOWICE, rozległa wieś z chałupami rozsianymi po płaszczystych pagórkach, porośniętych lichą trawą, przecięta nitką wartkiego strumienia, wieś starą, powstała w XIV w., nazwaną przed wojną Moskwą w sercu Polski; z Bogumiłowice ludzie szli do Berezy Kartuskiej, ksiądz Cwilong wykiął

Dalszy ciąg na str. 5



NIE BYŁO PUSTEGO ROKU

Czytaj na str. 7



JERZY PILICHOWSKI

CZTERNAŚCIE TWARZY STARÓWKI

Chwyć go za gardło. Może przestanie mnie ciągnąć w noc? Duch łódzkiej Starówki nie ma gardła, ma tysiące oczu, których nie sposób zasłonić dłonią. Mruga światłami okien rozległej panoramy, otaczającej Staremijski Park. Krępe lipy na jego kondygnacjach, których cienie wydłużają księżycowe światła jarzeniówek, mają już więcej lat niż smarkule, telefonujące z pobliskiego automatu. Przez szyby kabiny widzę ich twarze i uśmiechy przeznaczone dla kogoś ukrytego w wielkim mieście.

1.

Te kondygnacje to maskarada. Pod nimi są nie uprzątnięte gruz. Ta rzecz dla dziewcząt nie ma żadnego znaczenia, tak jak dla młodych lip.

Na wieży ratusza bije godzina 23.00. To CZAS Widze jego abstrakcyjną twarz: Szydzi! A widzisz, wątpliwe we mnie w tamtych latach?

— Odejdź! Nie zawieździesz mnie w labirynt staremijskich uliczek. Nadchodzi noc.

— Pójdiesz! Już poszedłeś! Wstałeś przecież z ławki, dobiegałeś do skrzyżowania Nowomijskiej z Północną. Patrzysz w zieleni, szczerze wysypiana z wiosennego worka. Słyszysz ja wzrokiem. Potem, potykając się o kolorowy neon „Arkadii”, strzelasz dalekim spojrzeniem ułożone w bu-

kiet uliczek: Jerozolimską, Jakuba, Podrzeczną. Patrzysz na panoramę światła nowych bloków.

Masz smutną twarz?

Zwątpiłem? Jak można było nie zważyć?

Wtedy po raz pierwszy z tego miejsca oglądałem panoramę Starówki. Przyproszadł mnie tu szkolny kolega — Zbyszek. Ujrzałem wówczas pierwszą jej twarz — martwe morze gruzów; abstrakcyjny pejzaż zastygłych w bezruchu „pryjut”; szczątków balkonów, zwisających na pogiętym żelastwie; pokiereszowanych wiekowych kamieniczek — kalek, spoglądających na ulice ciemnymi oczodolami okien, pozbawionych nawet ram. To była Zbyszka dzielnica. W jego rękach po raz pierwszy obejrzałem legitymację PPR.

„Bałuckie, limfatyczne dzieci

Z wyostrzonymi twarzyczkami...

Ech, próżno byś dziś szukał Ty, najbardziej łódzki Julianie. Wśród kolorowych bloków owych barwnych ścieżek metali farbek „apretury”...

Stąd odlechał Zbyszek w dalekie morza i oceany. Dorobił się tam oficerskich szlifów. Nie wrócił tu nigdy.

Właściwie to tu nikt już nie wrócił. Tu wracać można tylko wspomnieniami.

2.

Tego dnia, gdy po raz pierwszy ujrzałem ów zastygły pejzaż przeszłości ze Zbyszką na drugiej stronie Nowomijskiej, gdzie teraz wśród grabowych szpalerów tryska fontanna. Na tym pustym placu stał lunapark. Pozbierano żelastwo z kilku takich przybytków, pozostawionych przez hitlerowców, skłębiono w jeden. Taneczne przeboje przerwał dochodzący tu szum z PZPB nr 2 (dziśletcznych Zakładów im. Juliana Marchlewskiego).

Dalszy ciąg na str. 6



Laureaci plebiscytu „Odgłosów” i „Expressu Ilustrowanego”.

Fot. W. Parys

Tradycyjne święto pracy, święto ludzi, którzy w codziennym trudzie zmieniają nasze życie, święto nas wszystkich. Był czas, kiedy 1 Maja demonstrowano wolę walki o lepszy, sprawiedliwy porządek. Był czas, kiedy demonstracje pierwszomajowe spływały krwią, kiedy policyjne pałki rozpydzały demonstrantów. Dziś czasy te w wielu już krajach należą do przeszłości, ale też, kiedy wyjdziemy na ulicę demonstrować naszą radość, aby cieszyć się tym, co osiągnęliśmy i patrzeć z nadzieją w przyszłość, nie zapominajmy, że są jeszcze kraje, gdzie 1 Maja nadal jest świętem walki o prawo do pracy, o prawo do życia.

Dla nas 1 Maja stał się już tradycyjnym świętem radości. Chodzimy już na pierwszomajowe pochody całymi rodzinami, w kolumnach, po ulicach miast, miasteczek i wsi idą o-bok siebie ojcowie, matki, córki i synowie. Idziemy wszyscy, bo jest to przecież demonstracja naszej narodowej jedności. Demonstrujemy pod hasłami, ukazującymi nasz doro-bek, pokazującymi dalsze, co-rak bardziej dalekosiężne ce-le naszej pracy.

Kiedy w tym roku staniamiy w kolumnach pierwszomajowego pochodu, nie zapominajmy, że jest to święto ludzi pracy. Niech to słowo pra-ca stanie się dla nas najważ-niejsze. Zapewne nie ze wszy-stkiego możemy być już zado-woleni. Znajemy sobie sprawę, że w naszym życiu codzien-nym występuje wiele jeszcze trudności, że więcej mamy do zrobienia niż już zrobiliśmy. Ale też powszechną powin-na być świadomość, że tylko do-brą pracą możemy jeszcze wię-cej osiągnąć, pomnożyć doro-bek naszych 30 lat Ludowej Ojczyzny.

Niech więc dobra praca stanie się celem wszystkich ludzi pracy.

Do szóstego już plebiscytu „ODGŁOSÓW” zgłosiliśmy tradycyjnie dziesięciu łódzian — przedstawicieli różnych środowisk, wśród których Czytelnicy pisma mieli wybrać trójkę ich zdaniem najbardziej zasługujących na miano ŁÓDZIANINA ROKU. Tym razem plebiscyt nasz zorganizowaliśmy wspólnie z „EXPRESSEM ILLUSTROWANYM”. Plebiscyt został rozstrzygnięty, choć zasadniczym momentem zawsze było zgłaszanie całej dziesiątki kandydatów, gdyż jest to fakt najbardziej istotny: dokonanie wyboru spośród wielu łódzian, ocena postawy i osiągnięć ludzi, którzy w różnych dziedzinach naszego życia jak najbardziej aktywnie służą miastu i krajowi.

W ubiegły piątek, 19 kwietnia 1974 roku nastąpił kulminacyjny punkt ubiegłorocznego plebiscytu — wręczenie pamiątkowych talerzy tym, którzy z woli Czytelników „ODGŁOSÓW” i „EXPRESU ILLUSTROWANEGO” zostali „ŁÓDZIANAMI — 1973 roku”. Zwycięzców plebiscytu, jak i pozostałych kandydatów do miana „ŁÓDZIANIN-73” przyjął sekretarz KL PZPR — Zbigniew Faliński.

Pamiątkowe talerze otrzyma-li: ZDZISŁAW CIECHANOWSKI — cybernetyk, JADWIGA ANDRZEJEWSKA — aktorka Teatru Powszechnego i ANDRZEJ OLCZAK — robotnik „Wifamy”. Wręczyli im je re-daktorzy naczelni: „Odgłosów”

— Jerzy Wawrzak i „Expressu Ilustrowanego” — Marek Regel. Pozostali uczestnicy plebiscytu: Delfina Ambroziak, Wiesław Garbaliński, Wanda Kar-czewska, Antonina Kłosowska, Henryk Rudnicki, Konstanty Rychlik i Mirosław Wiśniewski — otrzymali pamiątkowe albumy.



Zdzisław Ciechanowski

Fot. W. Parys

Wszystkim uczestnikom plebiscytu „Odgłosów” i „Expressu Ilustrowanego” serdeczne gratulacje złożył sekretarz KL PZPR — Zbigniew Faliński. Zwrócił uwagę na istniejącą potrzebę wyróżniania ludzi twórczych pracy, którzy swoją postawą i osiągnięciami wysoko przekraczają przeciętność, dają

innym przykład do naśladowania. Obecnie stosuje się różne systemy wyróżniania najlep-szych. Wśród nich znajduje się również plebiscyt, odwołujący się do opinii społecznej, dający możliwość akceptacji społecznej postaw, które w powszechnym odczuciu zasługują na najwyższe uznanie.

Zbigniew Faliński złożył też gratulacje Czytelnikom „Odgłosów” i „Expressu Ilustrowanego”, którzy zechcieli wyrazić swój stosunek do innych ludzi, oceniając tym wysoko ich pracę i postawę.

W uroczystości tej nie mógł ze względu na stan zdrowia wziąć udziału mgr Zdzisław CIECHANOWSKI, który w plebiscycie „Odgłosów” i „Expressu Ilustrowanego” otrzymał najwięcej głosów. Przedstawi-ciele naszej redakcji udali się do mieszkania mgr Zdzisława Ciechanowskiego, gdzie wręczyli mu pamiątkowy talerz. Sylwet-kę twórcy aparatu do masażu serca zaprezentuje widzom całego kraju Łódzki Ośrodek Tele-wizyjny.

Nagrody dla Czytelników „Odgłosów” i „Expressu Ilustrowanego” ufundował „Uniwersał”. Dyrektor „Uniwersału” — Dionizy Sobczyk wręczył Hele-nie Pietrzak, Reginie Baranow-skiej i Marli Ciechulskiej talo-ny upoważniające do odbioru w „Uniwersału” telewizoru marki „Beryl”, radia tranzystorowego oraz adaptera.

M. R.

NOTY
i OPINIE

▲ GDAŃSKIE „LITERY”

czyli MKL — miesięcznik kul-turalny „literary” zmienił szatę i kierownictwo redakcji. Na-czelnym redaktorem został An-drzej Cybulski. Zmiana ta odbi-ła się echem po kraju, a głów-nie po pismach kulturalnych. „Literary” otrzymały kolorową la-kierowaną okładkę i sięgnęły po warszawskie pióra. Jednym to się podobało innym — nie. KTT w „Kulturze” poświęcił temu felieton, przypominając, że po-dział na pióra i pisma „cen-tralne” i „provincialne” jest anachroniczny i bzdurny. Po-gląd swój argumentuje on wielce trafnie, wymienia bo-wiem po prostu pisma, które — w Polsce — nie ukazują się w stolicy, a mają zasięg ogół-nokrajowy, oraz pisma zagra-

niczne, które też nie ukazują się w stolicach a znane są na całym świecie.

Nonsensownym jest podział problemów na „centralne” i „regionalne”. Istnieją po prostu sprawy Polaków, które nas wszystkich interesują i istnieją sprawy urojone, które nie interesują nikogo. Okazuje się, że ciekawie można pisać o spra-wach, które dzieją się w Pa-jeźnie i nudzić można o spra-wach, które dzieją się w War-szawie. Wszystko zależy od tego, czy ma się coś do powie-dzenia na dany temat, czy też tylko przeżuwa się to, co już powiedziano inni.

Zycie lubi płatać figle lu-dziom skłonny do szufladko-wania wszelkich zjawisk. Oto na przykład we Wrocławiu wy-chodzi miesięcznik „społeczno-kulturalny „Odra” — szeroko zresztą znany poza granicami Wrocławia. Ale w tym samym Wrocławiu wielką poczytno-ścią cieszy się provincialny ty-godnik ukazujący się w... Lublinie, gdyż rozchodzi się on w stolicy Dolnego Śląska w 12 tys. egzemplarzy. I bądź tu mądry!

oko na gospodarkę

Nagle, ni z tego ni z owego, czołówki gazet całego świata opanoowało jedno niemal słowo: KRYZYS. Nawet zwykłe opanoowani i rzeczowi komentatorzy ekonomiczni uderzyli w alarmistyczny ton. Ekspert od spraw gospo-darczych wielkiego dziennika amerykańskiego „Washing-ton Post” — Lester Brown, tak rozpoczął swój coty-godniowy komentarz:

„Wszystko wskazuje na to, że w ostatnią ćwiartkę na-szego stulecia wkroczyliśmy w sytuację coraz powszechniej-szego braku surowców. Choć pisze się na ogół o kryzy-sie energetycznym, to widoczny jest już również brak innych surowców. Dramatycznie wzrasta spożycie każde-go z ważniejszych minerałów niezbędnych w nowoczesnej gospodarce przemysłowej. Kraje uprzemysłowione, wy-czerpując już w znacznym mierze swoje własne rezerwy kluczowych surowców, w coraz większym stopniu zwracają się po te surowce do krajów nieuprzemysłowionych. Nie ulega kwestii, że w miarę dalszego wzrostu gospo-darczego, na całym świecie wystąpi też zaostrezenie walki konkurencyjnej o surowce i wzrost cen tych surowców”. Amerykański publicysta nie był w tym przekonanym odosobniony. Paryska „Le Monde” wtórowała mu, opa-trując pierwszą stronę swojego wydania z 23 listopada 1973 roku, tytułem idącym przez wszystkie szpalty: „Hossa na rynkach surowcowych trwa”, a dalej, już w charakterze wniosków z bardzo obszernej publikacji, francuski dziennik stwierdzał: „metale nieżelazne — dal-szy skok w cenach i zapotrzebowaniu. Wyroby i surow-ce włókiennicze — ciągle bez zmian, to znaczy deficyt. Kauczuk — niebezpieczeństwo niedostatku”.

Świat ogarnęła gorączka. Wysoka gorączka. Nim przejdę do spraw naszego, polskiego podwórka, które wynikają z owej — jak nawet mówią tu i ówdzie — surowcowej apokalipsy, chciałbym choćby na krótko zatrzymać się na mechanizmie tego surowcowego proble-mu, z którym staniemy się przeczni i my oko w oko, jako że i nasza gospodarka — jak każdego rozwiniętego kraju — powiązana jest licznymi nićmi ze światowymi ry-nkami, a o samowystarczalności w tej dziedzinie, choćby z tak oczywistych względów jak... klimat, nie ma co mó-wić.

Jest w tej kryzysowej sytuacji na surowcowych ry-nkach świata coś z obiektywnej prawidłowości. Można śmiało zaryzykować takie stwierdzenie, iż nieustanny wzrost zapotrzebowania na świecie na surowce spowo-dowany jest przez dwa czynniki. Oto one:

- ◆ po pierwsze — jest to konsekwencja rozwoju no-woczesnej gospodarki przemysłowej;
- ◆ i po drugie — eksplozja demograficzna, a na tym tle wzrostem zapotrzebowania na rozmaite wyroby, produkty konsumpcyjne — choć nie tylko — w tym także produkty przemysłu tekstylnego i w ogóle lekkiego.

Bardzo ciekawym pod tym względem materiał dostarcza-ba badania przeprowadzone przez francuskiego ekonomi-ście — F. Callofa. Otóż z danych, które on zgromadził

wynika, iż produkcja surowców na świecie wzrastała w poszczególnych okresach następująco:

- ◆ lata 1700 — 1800 od 1,2 do 1,3 proc. rocznie, czyli 3,6 razy;
- ◆ lata 1800 — 1910: o 4 proc. rocznie, czyli 8,3 razy;
- ◆ między rokiem 1900 a 1950 o 2 proc., czyli 2,2 razy;
- ◆ no i wreszcie lata 1950 — 1969 — o 5 proc. rocznie, czyli 2,5 razy.

Przedstawione tutaj wskaźniki mówią przede wszyst-kim o nieustannym wzroście zapotrzebowania na surow-ce, z wyjątkiem okresu między rokiem 1900 a 1950, na co złożyły się dwie wojny światowe oraz głęboki kryzys ekonomiczny, który targnął światem w latach 30-tych. Z pewnością dziś bowiem trudno przewidywać kształto-wanie się potrzeb na dalsze lata, mamy przecież do czy-nienia z rewolucją naukowo-techniczną, można jednak powiedzieć, iż gdyby tempo wzrostu zapotrzebowania na surowce miało się utrzymywać na dotychczasowym pozio-mie, a wydaje się, że jest to ocena minimalistyczna — to znaczy około 5 proc. rocznie, to w roku 2000, prze-cież znowu nie tak odległym, przyniosłoby to czterokrotny

WYSOKA
GORĄCZKA

wzrost potrzeb światowych w tym zakresie w porówna-niu do poziomu z roku 1970. Trzeba też powiedzieć, że mamy tutaj do czynienia z bardzo trudnym dylematem, bowiem zaspokojenie potrzeb rosnących w takim wy-miarze staje się koniecznością współczesnego świata, ale z drugiej strony mamy do czynienia z ewidentnym kurczeniem się naturalnych zasobów surowcowych na-szego globu. Posłuże się w tej mierze opinią zacierpie-tą z „Neue Zürcher Zeitung” odnoszącą swój komen-tarz do grupy surowców szczególnie interesujących łód-zian — surowców włókienniczych. „NZZ” tak pisała niedawno:

„Światowa produkcja surowców włókienniczych wyno-si obecnie 28,5 mln ton rocznie. Około dwóch trzecich — to produkty naturalne, jak bawełna, wełna, jedwab, juta, konopie, len, sizal, zaś jedną trzecią stanowią przemysło-wo wytworzone włókna chemiczne. Jeśli chodzi o su-

rowce naturalne to ze względu na niedobór ziemi upraw-nej dalsze zwiększenie produkcji jest raczej niemożliwe. Dlatego też zwiększone zapotrzebowanie na wyroby włó-kiennicze, w związku ze wzrostem liczby ludności i ogół-nego polepszenia warunków życia, musi być pokryte głównie produkcją włókien chemicznych, dla których wyjściowym materiałem jest ropa naftowa”.

Ala z ropą naftową — wiadomo jak jest. Pustawe zno-sy, czyli kłopoty z benzyną samochodową są może naj-bardziej efektywnym i najbardziej rzuciącym się ele-mentem aktualnej sytuacji, ale bynajmniej nie najważ-niejszym. Ropa naftowa to nie tylko, a nawet nie prze-de wszystkim surowiec do produkcji benzyny. Ropa to bardzo ważny surowiec przemysłowy, podstawa produk-cji mas plastycznych, włókien syntetycznych oraz nawo-zów sztucznych.

Trudno się dziwić, że w tych warunkach świat ogarnę-la gorączka, z którą niezwykle — jeśli w ogóle jest to możliwe — ciężko będzie się uporać. Surowce stają się więcej warte niż... złoto. Gwałtownie rosną ceny na świa-towych rynkach. Cytowana już tutaj „Neue Zürcher Zeitung” podawała 10 stycznia bieżącego roku, iż tzw. wskaźnik Reutera cen surowców naftowych na giełdach wzrósł do końca grudnia 1973 roku z 753 do 1375 punk-tów, a więc o 83 proc. Tego samego dnia poważna „Frankfurter Allgemeine” informowała, iż ceny wyjści-o-wych surowców farmaceutycznych wzrosły do 400 proc.

I tak dalej, i tak dalej... No dobrze, ale właściwie to po co o tym wszystkim tutaj piszemy?

Właśnie. Wydaje się, że w naszym społeczeństwie, jest jeszcze ciągle niska znajomość wartości rzeczy tylko po-zornie niewiele znaczących. Pomijając już wszystkie problemy wynikające z kłopotów surowcowych świata, choć tego absolutnie nie wolno ominiąć, wystarczy tylko powiedzieć, iż jeśli zdołalibyśmy zmniejszyć zużycie su-rowców i materiałów w polskim przemyśle o jeden, po-wiartam — o jeden procent, byłoby to równoważ-ne z możliwością wyprodukowania dodatkowo różnych wyrobów przedstawiających wartość 14 miliard-ów złotych. Interesująca szansa nie tylko tak „statys-tycznie” rzecz biorąc, pamięć przecież wypada o zwię-kszonej strumieniu pieniądza, któremu powinniśmy za-pewnić właściwą odpowiedź w postaci odpowiednich — ilościowo i jakościowo — towarów.

Czy jest to możliwe? Odpowiedź na to pytanie pozo-stawiam odczuciom swoich ewentualnych PT Czytelników. O pewnej sprawie chciałbym jednak jeszcze trochę sobie porozmawiać, bowiem wydaje się iż problem leży nie tylko w doskonaleniu naszego mechanizmu zarządza-nia czy wytworzenia, ale również w pewnej „barierze psychologicznej”, w nawykach, sposobie myślenia, które w istocie lekce sobie waży to co dziś najcenniejsze: su-rowiec. Może właśnie dlatego znajdujemy się w światowej czołówce „pożeraczy cementu”, co wcale nie przy-nosi nam chluby, bowiem tak jest, gdyż po prostu budo-wemy za ciężko. Może z tego względu, ledwie za 1,5 miliarda złotych skupujemy każdego roku tzw. su-rowców wtórnych, choć zasoby tej nie nie kosztującej kopalni złota bądź dewiz szacuje się na 15 miliardów. Też rocznie.

Nie ma co ukrywać: musimy się wiele rzeczy nauczyć. Ale na to, nigdy nie jest za późno.

KRZYSZTOF POGORZLEC

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAW-SKI, TADEUSZ SZCZEPANIK.

Z rektorem Uniwersytetu Łódzkiego prof. dr hab. JANUSZEM GÓRSKIM rozmawia Włodzimierz Stokowski.

— Ostatnie plenum Komitetu Łódzkiego PZPR poświęcone działalności środowiska naukowego na rzecz Łodzi i kraju jest doniosłym wydarzeniem w życiu naukowym naszego miasta. Dokonana na plenum ocena stanu badań naukowych w wyższych uczelniach Łodzi, wnioski i nakreślone kierunki dalszego ich doskonalenia mają podstawowe znaczenie dla społeczno-gospodarczego rozwoju naszego regionu i kraju. Czy zechciałby Pan Rektor zapoznać naszych Czytelników z wiodącymi problemami, które były przedmiotem obrad plenum?

— Nim odpowiem na to pytanie, pragnąłbym się zatrzymać nieco dłużej na sprawach poprzedzających problem dyskusyjny na plenum. Otóż świat przeszedł już przez kilka rewolucji technicznych, a przynajmniej przez dwie. Największą z nich wybuchła w końcu XVIII i początkach XIX wieku i w zasadzie odbyła się bez udziału nauki; została dokonana przez praktykę gospodarczą. Ciekawe na przykład, że uniwersytety brytyjskie patrzyły niechętnym okiem na problemy rewolucji technicznej, co więcej, wręcz przeszkadzały w jej realizacji. W początkach tego stulecia świat wkroczył w nową erę rewolucji naukowo-technicznej, bowiem w owym czasie zaczęły narastać jej przesłanki.

Teraz jednak sytuacja jest diametralnie różna. Dziś podstawową cechą rewolucji technicznej jest sprzężenie nauki z gospodarką i życiem społecznym oraz wykorzystanie efektów nauki dla rozwoju społeczno-gospodarczego. Obecna rewolucja jest inspirowana przez naukę i odbywa się w ścisłym powiązaniu z nauką. W związku z tym wylania się szereg interesujących zjawisk. Przede wszystkim gwałtowne przyspieszenie rozwoju nauki. Osiągnięty dziś potencjał rozwoju naukowego jest tak ogromny, że ilościowe i jakościowe przemiany w dziedzinie nauki, biorąc pod uwagę punkt wyjściowy, są bez precedensu w historii jej rozwoju. Nastąpiły stały wzrost nakładów na naukę. W przeciągu dwudziestu powojennych lat, we wszystkich krajach rozwiniętych nakłady na naukę dwukrotnie wzrosły. Proces ten jest także widoczny w Polsce, choć do niedawna przebiegał dość wolno. W 1980 roku nakłady na naukę wynosiły w naszym kraju około 1,2 procenta dochodu narodowego, teraz sięgają około 2,3 procenta, a w 1975 roku wyniosła około 2,5 procenta dochodu narodowego. W Związku Radzieckim wskaźnik ten wynosił około 4,5—5 procent, w Czechosłowacji — około 3 procent. Następną cechą rewolucji naukowo-technicznej naszych czasów jest to, iż tempo rozwoju nauki wyprzedza tempo rozwoju technologii, a tempo rozwoju technologii wyprzedza tempo rozwoju produkcji.

— Jak z punktu widzenia dnia dzisiejszego

można by ocenić trafność prognozowania kierunków rozwoju nauki i rewolucji naukowo-technicznej, opracowanego 10 czy 15 lat temu?

— Weźmy okres dwudziestu lat. W niektórych dziedzinach trafnie przewidzieliśmy kierunki rozwoju nauki, w niektórych popełniliśmy trochę błędów. W projekcjach elementy błędów zawsze są możliwe. Przewidywaliśmy na przykład szybsze wykorzystanie energii atomowej, niż to okazało się dzisiaj. Pokojowe wykorzystanie ener-

rozwinęły się nauki biologiczne, a znów kompleksowa automatyzacja nie rozwija się tak szybko jak przewidywaliśmy dwadzieścia lat temu. Nawet w najbardziej rozwiniętych krajach obejmuje ona zaledwie 6 do 8 procent produkcji. Okazuje się iż kompleksowa automatyzacja jest droższa niż można się było spodziewać. Notujemy

kształtu nabierze ona gdzieś około 1990—2000 roku, w każdym razie będzie to proces długotrwały.

— Jak można by określić stopień zaawansowania krajów naszego obozu w procesie rewolucji naukowo-technicznej w porównaniu z krajami kapitalistycznymi?

— Można stwierdzić, że na razie w procesie rewolucji naukowo-technicznej są dziś bardziej zaawansowane kraje kapitalistyczne, niż kraje naszego obozu. Kraje kapitalistyczne są bogatsze, nie dotknął ich rujujący kapitalizm wojny. Ale, podkreślam, na razie. Ponieważ rewolucja naukowo-techniczna wymaga elementów orga-

systemu socjalistycznego, który będzie umiał te elementy organizacyjno-planistyczne odpowiednio wykorzystać i zrealizować. A zatem przyszłość rewolucji naukowo-technicznej należy bez wątpienia do krajów socjalistycznych. W miarę jak będziemy coraz bardziej prężni, coraz bardziej zamożni — będziemy też mogli w coraz szerszym zakresie wykorzystywać jej efekty.

— A zatem wiodącym dla nas zadaniem na dziś jest nieustanne wzmaganie kompleksowego rozwoju nauki, stymulującego procesy rozwojowe rewolucji naukowo-technicznej.

— Tak. Przy czym rewolucja ta musi być realizowana w naszym kraju na wszystkich szczeblach. Oznacza to, że nie może być inicjowana tylko od góry. Musi iść także od dołu. I właśnie dlatego gwałtownie zwiększa się rola nauki na wszystkich możliwych frontach, nie tylko w naukowych ośrodkach centralnych, lecz także w regionalnych. Tu pragnę podkreślić bardzo ważne znaczenie plenum łódzkiej instancji partyjnej, na którym dużo uwagi poświęcono sprawom przyspieszenia procesu rewolucji naukowo-technicznej w naszym regionie.

— Jak oceniono na plenum stan badań naukowych w naszych wyższych uczelniach? Czy skłaniając kierunki badań naukowych wzięto pod uwagę istotne potrzeby regionu?

— Zadania postawione na plenum były związane z oceną stanu badań naukowych na terenie regionu łódzkiego w powiązaniu z potrzebami praktyki gospodarczej. Wiele elementów retrospektywnych i określenie kierunków rozwoju. Na plenum dokonaliśmy oceny badań podstawowych, będących istotnym zadaniem nauki, umożliwiającym jej wybieganie w przyszłość. Dotyczyła ona zwłaszcza stanu tych badań w naszych wyższych uczelniach i ośrodkach PAN. Ocena ta wypadła pozytywnie. Stwierdziliśmy w naszym regionie poważny rozwój podstawowych nauk medycznych, biologicznych, chemicznych, fizycznych, technicznych, ekonomicznych i socjologicznych. Drugi element tej oceny dotyczył problematyki badań stosowanych, wdrażanych już w różnych dziedzinach praktyki gospodarczej, technicznej, medycznej, w dziedzinie nauk społecznych, kultury, oświaty i tak dalej. Poświęcono także dużo uwagi na kierowaniu badań stosowanych na potrzeby naszego regionu. I tu pragnę podkreślić doniosły fakt obrad plenum, mianowicie, że po raz pierwszy, w oparciu o współpracę łódzkiego środowiska naukowego z inspiracją łódzkiej instancji partyjnej dokonaliśmy pewnej katalogizacji zadań, które nasz region wysuwa i które będą musiały być wykonane, żeby problemy regionu mogły być rozwiązane i po-

Dalszy ciąg na str. 4

LICZY SIĘ NAUKA



Fot. Archiwum

gii jądrowej przebiega w świecie w stosunkowo wolnym tempie. Natomiast w szybszym tempie niż przypuszczaliśmy rozwinęła się fizyka cząstek, fizyka ciała stałego. Szybciej

już niedługo w pełni faktem z punktu widzenia celów jakie przed nią stawiamy: zasadniczego wzrostu wydajności pracy i określonych przekształceń strukturalnych. Pełnego

nizacyjnych, elementów planowania, kierowania zachodzącymi procesami gospodarczymi, technicznymi i społecznymi. I na tym obszarze będzie się przejawiać coraz bardziej wyższość

JADWIGA ŁUŻYŃSKA - DOROBOWA

LENIN i SZTUKA

W bogatym dorobku naukowym i publicystycznym W. Lenina poważne miejsce zajmują problemy kultury i sztuki. Jest prawda, że podobnie jak K. Marks i F. Engels — tak i W. Lenin nie poświęcił żadnej ze swoich zasadniczych rozpraw zagadnieniom sztuki. Problemy te były jednak przedmiotem rozważań w licznych jego pismach, artykułach i referatach: zajmowały poważne miejsce w jego służbowej i prywatnej korespondencji oraz w dyskusjach, prowadzonych w gronie współpracowników i przyjaciół. Iluminując sztukę w szerokim kontekście problemów społecznych i społeczno-politycznych, Lenin nie tylko jako teoretyk, lecz także jako działacz polityczny, twórca noweli, recenzent, w której sztuka była nie tylko wartościem samą w sobie, ale stawała się ważnym instrumentem przekształcania społecznej świadomości.

Ta wielość aspektów, z jaką wypowiadał się o sztuce Lenin, szczególnie zaś jego teoria rewolucji kulturalnej, tego poglądy na temat społecznej odpowiedzialności twórcy i potrzeby dokonania przeobrażenia ideowego, postulat kreowania nowego stosunku do tradycji, poglądy na problem nowoczesności, mody, prawdy, piękna i humanizmu w sztuce — porównała niebicie stwierdzić, że W. I. Lenin — to współtwórca estetyki marksistowskiej.

W damietnikach i wspomnieniach bliskich zachował się obraz Lenina jako wielkiego miłośnika sztuk pięknych, estetyka o znakomitym guście artystycznym i wszechstronnych zainteresowaniach malarskich mimo częstych kontaktów ze sztuką, poczucie ciągłego pod tym względem niedosytu.

„Towarzysze — pisze N. K. Krupskaja, żona W. I. Lenina — który zapoznał mnie z Włodzimierzem Ilijem, powiedział mi, że Ilij to naukowiec, który czyta wyłącznie naukowe dzieła, który w życiu nie przeczytał ani jednej powieści, ani wiersza... Potem już na Syberii prze-

konałam się, że Ilij czytał nie mniej klasyków niż ja, nie tylko czytał, ale czytał wielokrotnie Turgeniewa na przykład. Zabrałam na Syberię Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa. Włodzimierz Ilij położył ich obok swojego łóżka przy Heglu i czytał wieczorami po wiele razy włącz od nowa. Najbardziej lubił Puszkina. Ale cenil nie tylko formę, na przykład lubił powieść Czernyszewskiego „Co robić” mimo jej słabej artystycznie, naiwnej formy... a w jego albumie syberyjskim były dwie fotografie tego pisarza... W albumie Ilijca były też dzieła Emila Zola, a spośród Rosjan — Hercena i Pisariewa...”

Pamiętam, że na Syberii mieliśmy także „Fausta”, Goethego w języku niemieckim i tomik wierszy Heinego... W czasie drugiej emigracji, w Paryżu, Ilij chętnie czytał wiersze Wiktora Hugo „Châtiments” poświęcone rewolucji 48 roku, które Hugo swego czasu pisał na wygnaniu, a które były potajemnie przywożone do Francji...

Chętnie chodził Ilij do różnych kawiarni i teatrów przedmieścia słuchać rewolucyjnych szansonistów, śpiewających w robotniczych dzielnicach Paryża.”

„Pamiętam, pewnego razu w Genewie, (był to 1904 r. J. Ł. — D. — wspomina M. N. Jadow, działacz rewolucyjny — byliśmy razem z nim i Nadieżdą Konstantynowną w teatrze. Występowała znakomita Sara Bernhardt w tytułowej roli „Damy Kameliowej”. Ilij siedział w pierwszym rzędzie. Gdy skończył on niegdyś z żegnaniem ocalałego, On człowiek takiego haru, był wzruszony do tego znakomitej grą w banalnej sztuce...”

„Nie wiem w jakiej sprawie — wspomina L. A. Foltijewa — przyjechał Włodzimierz Ilij. — Zabawił wtedy (mają

1905 r. — J. Ł. — D.) w Paryżu nie mniej niż trzy dni. Dwa wolne wieczory spędził w teatrze. Pierwszego dnia, za radą towarzysza Filatowa, świetnie znającego Paryż, Włodzimierz Ilij poszedł na jakąś operę do Grand Opéry, ale nie był zadowolony. Nudził się. Drugiego dnia Włodzimierz Ilij był w teatrze Folles Bergères. Wystawiano krótkie scenki w lekkim stylu... Włodzimierz Ilij śmiał się zaraźliwie, jak tylko on to potrafił i świetnie odpoczął tego wieczoru...”

„W czasie rewolucji — pisze W. Boncz-Brujewicz — Włodzimierz Ilij był kilka razy w Teatrze Artystycznym w Moskwie, który szczególnie cenil. Przed wybraniem się do teatru, zawsze prosił o dostarczenie mu tekstu sztuki, który uważnie studiował, zawsze też pragnął mieć wczelniej program, którym posługiwał się przy czytaniu sztuki. Po obejrzeniu opery „Borys Godunow” w Teatrze Wielkim Włodzimierz Ilij wyraził pogląd, iż należy rozbudowywać i udoskonalać sceny masowe, aby tam, gdzie zachodzi potrzeba, rzeczywiście czuło się obecność ludu, z tym, że te masy winny być podobne do „prawdziwego ludu”, jak wyraził się Włodzimierz Ilij.”

Ogromną wagę przywiązywał Włodzimierz Ilij do malarstwa. Oglądając wystawy plastyczne, nie pomijał ani jednego obrazu, którego treść była godna uwagi i interesująca dla szerokiego mas. Szczególnie odpowiadała mu Galeria Trietiańska, którą odwiedził kilkakrotnie po Rewolucji Październikowej. Znajdował tam wielką liczbę obrazów, które przykuwały jego uwagę, zarówno znakomitym warszatem, jak też samą tematyką.”

„Pewnego razu wieczorem — wspomina M. Gorki — w Moskwie, w mieszk-



Fot. Włodzimierz Parys

kanju J. P. Pieszkowej (był to rok 1920 — J. Ł. — D.) Lenin, słuchając sonety Beethovena w wykonaniu Izaaka Dobrowajna, powiedział: „Nie znam nic piękniejszego od „Appassionaty”. Jestem gotów jej słuchać każdego dnia. Zdziwiałąca, nieludzka muzyka. Zawsze z dumą, być może naiwną, myślę: oto, jakie cuda mogą tworzyć ludzie...”

„Każdy artysta — zapisała słowa Leni-

na Klara Zetkin — każdy, kto się za takiego uważa, ma prawo do swobodnej twórczości, zgodnie ze swoimi ideałami, niezależnie od niczego. Ale my przecież jesteśmy komunistami. Nie możemy stać z założonymi rękami i pozwalać na swobodny rozwój chaosu. Powinniśmy w sposób absolutnie planowy kierować tym

Dalszy ciąg na str. 10

GEORGES SIMENON

13

Tłumaczył: R. WYSOCKI

Miała lat trzydzieści pięć i opiekowała się nim jak dzieckiem. Jej marzeniem było rozpieszczać go przez cały dzień. — Maszynistki, urzędniczki rachuby były również przesłuchiwane, następnie przysłała kolej na mężczyzn. — „Zonaty? Ma dzieci? Zechce pan podać adres? Często pan był na kolacji z szefem i jego żoną? — Dawałem im znak, żeby mówili prawdę. Ich także pytał, czy znali twoją szwagierkę. Następnie chciał się dowiedzieć, czy zdarzyło im się spotykać z Kocurem na osobności. — Przy niektórych, na przykład Diaere albo Monogue, trwało to krócej. Diaere był brzydki, jak grzech śmiertelny, a Monogue miał sześćdziesiąt osiem lat. — Ostatnim był Bour. Wpadł właśnie do redakcji, tak samo prawie roztrzęsiony jak ty. Spędziliśmy trochę czasu razem ostatniej nocy. Z Bobem Demarie. Wszyscy trzej byliśmy pod gazem. — To wszystko. Mam wrażenie, że komisarz nie jest idiotą i wie, do czego zmierzam. — Zanim podano zamówiony antrykot, Alain zapalił papierosa. Nie czuł się dobrze, ani moralnie, ani fizycznie. Nie było go pochmurzone. On również. — Mamy dziś piątek? — Tak. — Na ulicy de l'Université wystawiono zwłoki. Zastanawiam się, czy mam tam iść. — Sam musisz lepiej wiedzieć ode mnie. Nie zapominać, że właśnie twoja żona... Nie dokończył. Oczywiście, że właśnie jego żona zamordowała tę, która leży w trumnie. Wrócił do redakcji. Gdyby nie odwoził Borysa, byłby może wrócił do domu, żeby się wypocząć. — Sekretarka mecenasa Rabut prosiła, żeby pan do niego zadzwonił zaraz po powrocie. — Połącz mnie. — W chwilę później Colette podała mu słuchawkę.

— Pan Poltaud? Tu, sekretarka mecenasa Rabut. — Wiem. — Mecenasa Rabut przeprasza bardzo, ale zapomniał panu o tym rano powiedzieć. Pańska żona wręczyła mu listę rzeczy i chciała żeby pan przesłał jej jak najprędzej. Czy mam ją panu doręczyć? — Bardzo duża? — Nie bardzo. — Proszę ją podyktować. Przyniósł notes, zapisał listę rzeczy, cała kolumna. — Najpierw szara jersey'owa sukienka, która znajduje się w szafie na lewo, chyba że została oddana do pralni. Zda się, że pan się orientuje. Czarna, wełniana spódnica, ostatnia, z trzema dużymi guzikami. Cztery lub pięć białych bluzek, zwykłych. Tam trzeba czekać tydzień, żeby dostać bieliznę z pralni. Zdawało mu się, że widzi Kocura, że ją słyszy. Była to ta sama komedia, jak zawsze, kiedy zatrzymywali się w hotelu. — Dwie białe, nylonowe kombinacje, te bez koronek. Tuzin par pończoch, kupionych ostatnio, które znajdują się w kopercie z czerwonego jedwabiu. — Przebywała w więzieniu Petite Roquette, oskarżona o zabójstwo. Groziło jej dożywocie, a ona tymczasem martwiła się o pończochy. — Nie dyktuję za szybko? Czarne laskierki i kąpielowe sandały. Jej kąpielowy szlafrok. Para ciemnych bucików na wysokich obcasach. Flakonik jej zwykłych perfum, niezbyt duży. Pan będzie się orientował. — Nawet perfumy! Nie było łatwo wytracić ją z równowagi. Trzymała się dobrze, obierała nogami tkwiła na ziemi! — Mały zapas środków nasennych i jej pastylki na pieczenie w żołądku. Zapomniała. Dodała jeszcze: grzebień i szczotka. — Czy ona sama pisała tę listę? — Tak. Wręczyła ją mecenasowi Rabut z prośbą o przekazanie panu możliwie najszybciej. Dorzuciła jeszcze jedno słowo, które trudno odczytać. Lista pisana ołówkiem, na lichym papierze. So... Tak. To dwa R. Sorry... — Zdarzało się, że niekiedy rozmawiali po angielsku. Sorry! Wybacz mi. — Przeglądał się Colette, która go obserwowała, podziękował, położył słuchawkę. — Pani niezbyt poruszona tym przesłuchaniem? — Kiedy zaś otworzyła szeroko oczy!

— Przepraszam. Zaczynam mówić do ciebie pani. Czy bardzo cię poruszyło, że czasem sygnalizujemy ze sobą? — To nikogo nie obchodzi. — Tak człowiek myśli. Każdy wyobraża sobie, że jego życie należy do niego. Potem przychodzi jakiś wypadek i wszystko wystawiają na widok publiczny. — Dorzucił z ironią: — Ja wystawiłem! — Boli cię to? — Nie. — Czy to nie poza? — Przysięgam ci, że te samice mogą sobie spać z całym światem i nie mnie to nie wzrusza. — Biedna Colette! Była i pozostała sentymentalna. Mogłaby być jedną z tych rzadkich, spośród personelu, które brały tygodnik na poważnie. — Wolałaby widzieć go zlanego. Położyłby wtedy głowę na jej ramieniu, ona zaś by go pocieszała. — Wybywam. Muszę jej zawieźć rzeczy. — Samochód stał w podwórzu. Raz jeszcze przebył fraszę, która tak dobrze znał. Zrobiło się chłodniej. Przechodnie maszerowali trochę zwalając i zatrzymywali się przed witrynami. — Wszedł do windy, otworzył drzwi swoim kluczem; w pierwszej chwili był zaskoczony, kiedy znalazł się twarzą w twarz z nową sprzątaczką. A więc zdecydowała się pracować cały dzień. Szafa i szuflady w korytarzu były otwarte. — Co pani robi, mój króliku? — Mówił do niej jeszcze pani. Sam był zaskoczony. To długo nie potrwa. — Jeżeli mam panu na coś się przydać, muszę wiedzieć, gdzie leżą rzeczy. Przy okazji wyszczotkuje ubrania, którym tego potrzeba. — W takim razie zaraz mi pani pomoże. — Z kieszeni wydobył listę, wyszukał dość dużą walizkę. — Szara jersey'owa sukienka. — Warto by ją oddać do czyszczenia. — Żona nie pamięta, czy ją oddała, czy nie. Tym gorzej! Proszę ją dać. Potem, kolejno, kombinacje, majtki, pończochy, pantofle, cała reszta. — Ja sama to zrobię. Pan wszystko pakujcie byle jak.

Dalszy ciąg nastąpi

WIEZIENIE



LICZY SIĘ NAUKA

Dalszy ciąg ze str. 3

trzeba zaspokojone. Jeszcze raz mocno podkreślam, że jest to katalog opracowania wspólnie, że do jego opracowania włączyła się nauka. Bo nie jest tak, że kierunki badań ma narzucać tylko praktyka, często trzeba ją po prostu inspirować, bowiem niejednokrotnie ma ona ograniczony horyzont czasowy. A zadaniem nauki jest właśnie wytyczanie zadań długofalowych, perspektywicznych.

— Czy zechciałby Pan Rektor podać parę przykładów spośród zagadnień, które znalazły się w tym katalogu?

— Weźmy niezwykle ważny problem przekształceń na rynku pracy w Łodzi. Rozwijamy się i będziemy się rozwijać w warunkach braku siły roboczej. Przyrosty zatrudnienia w Łodzi są niewielkie i wysuwa się tu kwestia strukturalnych przekształceń w zatrudnieniu. Musimy więc zwiększyć wydajność w sferze produkcji materialnej, żeby wygospodarować pewne nadwyżki siły roboczej na rzecz rozwoju usług. Możemy liczyć tylko na to, że poważniejszych przyrostów zatrudnienia z zewnątrz Łodzi nie mamy. Albo inne zagadnienie: kierunki rozwoju łódzkiego przemysłu, problem pewnych przekształceń strukturalnych w tej sferze. Łódź jest centrum przemysłu lekkiego i pozostanie nim. Nowoczesny przemysł lekki jest „dobrym” przemysłem. Wyszukano kiedyś sporo uzasadnionych zarzutów pod adresem przemysłu lekkiego, że jest bez perspektyw, że nie służy podnoszeniu kwalifikacji pracowników, że nie zapewnia szybkiego wzrostu wydajności pracy, że nie stwarza warunków szybkiego wzrostu stopy życiowej i tak dalej. Wszystko to było słuszne, ale pod adresem zaoferowanego przemysłu lekkiego. Natomiast nasz nowoczesny przemysł lekki — syntetyki białej i im podobne — wprowadza nowoczesną technikę, a ona z kolei stymuluje wymogi kwalifikacyjne i nowe postawy w stosunku do pracy, umożliwia wzrost wydajności pracy itd. Przemysł lekki tak rozumiany jest rozwojową gałęzią przemysłu, zwłaszcza, że wiąże się z przemysłem budowy nowoczesnych maszyn włókienniczych. A tu z kolei wylaniają się szerokie możliwości ich eksportu.

Oczywiście nie można przy tym pominąć także sprawy przemian struk-

turalnych w przemyśle łódzkim. Powinniśmy w Łodzi rozwijać przemysł precyzyjny, elektrotechniczny i inne. Łódź musi mieć określony wachlarz gałęzi przemysłowych. Na tym tle nabierają dużej wagi zadania, które stają przed naukami technicznymi. Wylaniają się tutaj także problemy organizacyjne związane z automatyzacją i kierowaniem zautomatyzowaną produkcją. A zatem zagadnienia wymogów kwalifikacyjnych, struktury kształcenia słowem szerokie spektrum zagadnień, które trzeba opracować i przy pomocy nauki rozwiązać.

Z punktu widzenia Uniwersytetu Łódzkiego bardzo ważnym zagadnieniem są zadania w dziedzinie nauk społecznych. Przez długi czas były one w kraju de facto nie doceniane. Tymczasem mają do spełnienia ważne funkcje ideologiczne, związane z kształtowaniem nowej jednostki socjalistycznej, jednostki zintegrowanej z socjalistycznym społeczeństwem. Wiele istotnych problemów ideologicznego wychowania społeczeństwa. Są to określone zadania dla nauk ekonomicznych, socjologicznych, historycznych, filozoficznych, pedagogicznych.

— Dla nauk społecznych wynikają z kolei zadania aplikacyjne?

— Tak, ważne i wieloszczeblowe. Jeśli chodzi o dyscypliny ekonomiczne — jest to zadanie wykorzystania ich osiągnięć w dziedzinach: organizacji i planowania, produkcji oraz prognozowania rozwoju gospodarczego. Dla nauk socjologicznych — jest to poznanie perspektyw przekształceń społecznych, badania nad kształtowaniem się nowoczesnej klasy robotniczej, nowoczesnej inteligencji, kontaktów między tymi dwiema grupami społecznymi i ich wzajemnego przenikania. Dalej, wiele zadań związanych z prognozowaniem społecznym, z badaniami aplikacyjnymi dla potrzeb miasta, określone zadania z zakresu analiz, ekspertyz i prognozowania także dla potrzeb aparatu partyjnego. Na plan wysuwa się także szeroki wachlarz tematów związanych z realizacją reformy oświatowej w Łodzi, więc określone zadania aplikacyjne dla nauk pedagogicznych, psychologicznych. Problemy rozwoju kultury, służby zdrowia, wypoczynku w naszym regionie. Wszystkie te badania, dokonywane z punktu widzenia potrzeb Łodzi, mogą być szeroko wykorzystywane także w innych regionach Pol-

ski. I odwrotnie: dobre badania podejmowane w innych regionach kraju będziemy wykorzystywali dla potrzeb Łodzi.

Oczywiście nie zrobimy tego wszystkiego sami i dlatego ogromną rolę odgrywa tu podział pracy w dziedzinie nauki. Zakłada się dziś, że nawet w takim średnio rozwiniętym kraju jak Polska, i o średnich rozmiarach, tylko dziesięć procent badań można prowadzić we własnym zakresie. Dziewięćdziesiąt procent badań musi przychodzić z zewnątrz. Pozostaje tylko problem umiejętnego przystosowania i wykorzystania importu myśli naukowej z innych krajów dla potrzeb własnego kraju czy dla potrzeb własnego regionu.

— A więc, między innymi, problemy polityki licencyjnej?

— Tak. Prowadzimy teraz nową politykę licencyjną. Kupujemy dużo licencji — to dobrze. Na razie musimy więcej kupować licencji, niż sprzedawać. To wynika z potencjału naszego kraju. Chciałbym być właściwie rozumiany: sprzedajemy zdecydowanie za mało licencji, moglibyśmy ich sprzedawać znacznie więcej. Ale nawet takie kraje rozwinięte, jak na przykład NRF, Francja, Szwecja czy Anglia mają mniej więcej sześćdziesięcioprocentowy deficyt w obrotach licencyjnych.

— Kiedy kupno licencji jest opłacalne?

— Gdy istnieją warunki ich zastosowania. Do niedawna popelnialiśmy duży błąd nabywając licencje za wszelką cenę, nie mając odpowiedniego przygotowania technicznego. I tu znów nauka musi dobrze przygotować zaplecze, przede wszystkim zaplecze naukowo-badawcze przemysłu, do wdrażania licencji. Teraz, od paru lat, prowadzimy korzystną dla nas politykę licencyjną.

— Sądę, iż nawet sam proces wdrażania licencji może pobudzić rozwój myśli technicznej, na co wskazywałby ekonomiczne efekty ulepszenia licencji za granicą?

— Z całą pewnością. Bardzo pouczające są tu doświadczenia w Zakładach im. Kasprzaka. Zakup licencji spowodował tam gwałtowną eksploatację wynalazczości pracowniczej, związanej właśnie z zastosowaniem i opra-

cowywaniem licencji. Dobrze kupiona licencja, to znaczy w odpowiednim czasie i dobrze zastosowana, daje bardzo korzystne wyniki.

— Na plenum omawiano także sprawy bazy materialno-technicznej wyższych uczelni w Łodzi. Czy zechciałby Pan Rektor powiedzieć, czy wypadła ta ocena?

— Nauka u schyłku XX wieku i w erze rewolucji naukowo-technicznej musi kosztować. Mamy szereg istotnych braków. I w zakresie budynków, i w zakresie aparatury naukowej. Potrzeby kształcenia kadry pracowników na najwyższym poziomie nie mogą być niekiedy w pełni realizowane po prostu ze względu na brak powierzchni dydaktycznej. Aparatura naukowa jest przestarzała. Chciałbym tu jednak podkreślić, iż w ostatnich trzech latach dostaliśmy w Łodzi dużo nowej i nowoczesnej aparatury naukowej. Mamy jednak tyle zaległości, że mimo to nie zdołaliśmy ich jeszcze odrobić. Zaległości te nie dotyczą tylko uniwersytetu. Dlatego w dążeniu do pełnego wykorzystania tej nowej aparatury będziemy w Łodzi tworzyć laboratoria środowiskowe, uczelniane, wydzielone. Żeby tej nie rozpraszać, żeby ją wykorzystywać jak najbardziej efektywnie.

— Nasze państwo, świadcząc około 2 i pół procenta dochodu narodowego na naukę, świadczy tyle, ile może. Ale, czy zdaniem Pana Rektora, rozdział tych środków jest właściwy?

— My, naukowcy, sądzimy, że chyba trochę za mało udział w tych nakładach mają przede wszystkim wyższe uczelnie, a częściowo także ośrodki badawcze Akademii. Nauk, choć tam jest już lepiej, natomiast trochę za duży udział mają instytuty i laboratoria resortowe. Nie są one w stanie zużytkować całości otrzymywanych środków w sposób najbardziej efektywny, podczas gdy my odczuwamy wielki brak tych środków. Są to w pewnej mierze sprawy organizacyjne, które mogą być rozwiązane w ramach określonych posunięć. Mówiliśmy o tym na plenum.

— Wszystkie te wielostronne i napięte zadania, jakie stoją dziś przed nauką, wymagają intensywnego kształcenia kadry naukowej na najwyższym poziomie. Czy Uniwersytet Łódzki jest do tego przygotowany?

— Jest to podstawowy problem. Kształcenie kadry naukowej w skali wszystkich wyższych uczelni w Łodzi cechuje relatywnie wysokie tempo. Uniwersytet promuje co roku około stu doktorów. Wielu doktorów promują również Politechnika i Akademia Medyczna. Gorzej jest z habilitacjami, jest ich za mało, bo w skali Łodzi, około trzydziestu paru rocznie. Dla uniwersytetu jest to problem o tyle ważny, że mamy wprawdzie około dwustu profesorów i docentów, przy czym nieomal wszyscy nasi docenci

mają habilitację, to jednak brak nam około stu samodzielnych pracowników nauki, żeby wszystkie, lub prawie wszystkie, zadania uniwersytetu móc rozwiązać. Czyli przy piętnastu habilitacjach rocznie, a tyle teraz habilitujemy rocznie w uniwersytecie, musielibyśmy na tę ilość samodzielnych pracowników nauki czekać około dziesięciu lat, gdyż część profesorów i docentów przejdzie w tym czasie na emeryturę. Należy więc przyspieszyć proces kształcenia kadry naukowych na najwyższym poziomie. Przypomina to kwadraturę koła, ponieważ jednocześnie rosną zadania dydaktyczne uniwersytetu i samodzielnicy pracownicy nauki nie mają po prostu dostę do czasu na opiekę nad młodszym pracownikami.

— Te trudną sytuację pogłębia niewątpliwie fakt, że wyższe uczelnie w Łodzi muszą przecież kształcić także kadry naukowe dla ośrodków naukowo-badawczych przemysłu. A czas nagli.

— Istotnie. Niemniej musimy się z tym uporać. Zwalacza, że struktura zatrudnienia w łódzkim zapleczu naukowo-badawczym przemysłu jest niekorzystna. Nakreśliłbym już kierunki działania, zmierzające do poprawy tej sytuacji. Chodzi głównie o rozwój studiów doktoranckich, które należy zresztą gruntownie zrekonstruować.

— Gwarancją rozwiązania tych wszystkich bardzo skomplikowanych problemów jest opieka i pomoc łódzkiej instancji partyjnej.

— Z całą pewnością. To bardzo ważne, że rozwój badań naukowych i potrzeb łódzkiego środowiska naukowego znajdują się w centrum uwagi Komitetu Łódzkiego Partii, jak i zainteresowania Urzędu m. Łodzi. W miarę swych możliwości udzielają nam one wydatnej pomocy przy rozwiązywaniu nurtujących nas problemów. Nasze najwyższe władze partyjne i rządowe wyraźnie określiły kierunek na przyspieszenie rewolucji naukowo-technicznej w Polsce, na uczynienie z nauki głównej dźwigni dalszego społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju. Zalecenia te są przenoszone niżej i władze partyjne i administracyjne naszego miasta nawet je w pewnej mierze wyprzedzają. Na znaczenie jakie przywiązuje łódzka instancja partyjna do spraw rozwoju nauki w naszym regionie wskazuje fakt, że referat na plenum włąślił i sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR, tow. Bolesław Koperski. Wytworzyły obecnie dobry klimat dla spraw nauki rokuje realizację zamierzeń łódzkiego środowiska naukowego.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

te wieś za komunę. Była „czerwona wyspa” wśród spokojnych piaszczystych pól...

KOMENDANT KAPELA

Czekałem w Łasku na komendanta KP MO, majora Józefa Kapelę, który akurat załatwiał pewne sprawy w KP PZPR. Nie dlatego, aby zrobić sztam-powy opis awansu chłopaka, który wydłubywał kiedyś czarne żyto z przekwitłych kłosów, choć taki awans nigdy nie stracił na wartości, ale z tej przyczyny, iż z uzyskanych wcześniej informacji wiedziałem, że spośród wykletych w Bogumilowicach na to miano najbardziej „zapracowały” sobie trzy rody: Kapelowie, Kusiakowie i Kubiakowie. Chciałem więc zacząć od Kapeli.

Wszedł. Krępy, barczysty, o szerokiej, chłopskiej twarzy.

— Role się zmieniły — powiedziałem — gdyż za chwilę nastąpi przesłuchanie komendanta. Chciałbym wiedzieć jak najwięcej o Bogumilowicach.

Nawet nie okazał zdziwienia. Uśmiechnął się i powiedział:

— Tak, swego czasu wokół tej wsi krążyła legenda. Teraz wszystko przyszło, bo historia idzie do przodu, zostawiając nieraz za sobą zatarte ślady. A ja, co mogę powiedzieć? Byłem dzieckiem, tamte lata pamiętają starsi, bardziej zasłużeni.

— Może więc choć garść faktów, które byłyby dla mnie punktem zaczepienia. Jadę właśnie do Bogumilowic.

Komendant zastanawia się chwilę i mówi:

— Myślę, że z dawnych, przedwojennych czasów warto wspomnieć o takich sprawach, jak np. bunt w Bogumilowicach, kiedy to kobiety odebrały komornikowi wyprowadzane ze wsi krowy, albo też sprawę mojego stryżka, Alojzego Kapeli, który poszedł do kozy, za to, że zamiast szopy postawił remizę strażacką...

W naszej wsi było wielu znanych działaczy, którzy po wyzwoleniu pracowali w anarchii partyjnym, w Służbie Bezpieczeństwa i w wojsku. Tacy, jak choćby Zenek, Władek, Pietrek czy Bolek Kusiakowie, albo Marian Klajza. Starsi już przed wojną uczestniczyli w obchodach 1-Majowych, kolportowali ulotki. Ja po wojnie organizowałem ZWM, pomagałem w przeprowadzaniu reformy rolnej...

— Właśnie! Proszę powiedzieć coś o sobie. To przecież łączy się z historią Bogumilowic.

— Może więc zacznę od okupacji. Kiedy w 41 Niemcy zaczęli ludzi wysiedlać, podjąłem pracę u niemieckiego sottsya. W 42 zaczęto scalać gospodarstwa, w lutym 43 wraz z wieloma młodzieńcami zabrano mnie do Wielunia, a stamtąd wyeksportowano na roboty do Prus Wschodnich. W 44 Niemcy nas ewakuowali, potem przyszło wyzwolenie.

W tym czasie wszyscy młodzi szli do starszych klas szkoły w Sulmierzycach. Uczyliśmy się wierszy rewolucyjnych, dawaliśmy przedstawienia; ZWM-owcy uruchomili szkołę w Bogumilowicach, odbudowali remizę strażacką i rozkreśliли życie kulturalne. Potem szli na ochotnika do wojska, UB, do milicji i kontrwywiadu. Wielu pozostało tam, i to na wysokich stanowiskach, do dziś.

17 stycznia 1946 r. wstąpiłem do PPR. Na jednym z zebrań sekretarz powiedział: „Towarzyszu Kapela, jutro pójdziesz do milicji”. Nie było gadania, wrzuciłem do torby manatki i pojechałem do szkoły oficerskiej w Słupsku, którą ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym.

Szybciej mogły ostrzec o nadciąganiu policji granatowej. Często w nocy. Komendant policji Krawczyk podczołgiwał się pod dom Michała Kusiaka, ale niczego nie wyniuchał. Było ciemno, światła nie wolno było palić, tak, że kiedy przyjechał instruktor „z góry” i wygłosił pogadankę na temat sytuacji międzynarodowej, nikt nawet nie widział jego twarzy.

Wszelkie środki ostrożności zachowywane były również przy odbijaniu ulotek u Efemberg. To były ulotki przeciw władzy sanacyjnej, a odbijali je Michał Kusiak i Czesław Domagała. Puszczano się je na wsi poprzez „wiciarzy”, Janek Efemberg chodził z nimi, Michał Walczak też.

W dniu 1 Maja polami, miedzami ciągnęliśmy do Radomska. Przy dro-

skoczyło się na sześciu młodzieńcach. Potem zaczęły się szerzyć łapanki. Nie zawsze udane. Raz złapano tylko jednookiego Szczepana Kapelę, który powiedział: „I co, ślepego zabieracie? Żeby się z was śmiali, że wam wszyscy zwiali?” Puszczili Szczepana...

W 1935 roku za górą pod Ostrołęką granatowi zostawili auto i wpadli znielacka do Bogumilowic. Wtedy poszli do Berezy: Czesław Domagała, Michał Kusiak, Piotr Kusiak i Kazimierz Efemberg. Na jedenaście miesięcy... Gdy wrócili, opowiadali, choć to było zakazane, jak tam ludzi zaprzęgano do wielkich wozów z kartoflami, bito pałkami, wdeptywano w błoto obcasami, jak rękami wyjmowali łajno z latryn, a potem, w te nieotarte ręce, dostawali kawałek chleba...

DIABELSKA KAPLICA

W Sulmierzycach ksiądz Cwilong, zwany „pomidorem” albo „Indorem”, gorliwie wertował brewiarz, przercał paciorki różańca, grzmiał z ambony, lecz w nocy i tak nachodziły go koszmarnie sny, pełne czerwonych diabłów. Bogumilowice nie dawały mu spokoju. Przed spowiedzią wypytywał wiernego, czy aby nie jest z Bogumilowic. Kiedy podczas nauki katechizmu dzieciaki siedziały grupkami pod drzewami, ksiądz podchodził, wysuwał zagiętą łaskę i wyciągał za kark delikwenta. Usłyszawszy nazwisko „Kapela”, czynił znak krzyża i pytał czy to nie od tych przekleństw wolnomyślicieli. Bo Szczepan Kapela czytał gazetę pt. „Myśliciel”...

Zły był na tych z Bogumilowic, kiedy bowiem odwiedzał chorego, kolportera Michała Walczaka napał mu do kieszeni sutanny plik ulotek komunistycznych... Innym znów razem, w czasie rekolekcji, komuniści rozkolportowali ulotki przed kościołem. Ktoś z wiernych wrzucił ulotkę księdzu. Cwilong wbiegł do kościoła i padłszy przed wielkim ołtarzem, krzyknął: „Komunizm zakradł się do kościoła”, po czym chwycił krzyż i wywołał wiernych na cmentarz, zachęcając do chwytania bolszewików. Ale nie znalazł się żaden chętny...

Przez wiele lat Władysław Kubiak był komendantem OSP w Bogumilowicach. Na wniosek starosty radomszczańskiego OSP rozwiązano, ze względu na panoszące się w strażach „elementy lewicowe”. Cały majątek miał być przekazany Sulmierzycom. Ksiądz Cwilong cieszył się, że pozbędzie się konkurencji.

O tym jednak niech powie sam stryjek Alek, czyli Alojzy Kapela, obecnie cencista, były sekretarz KG, ostatnio sekretarz organizacyjny KP PZPR w Pajęczynie.

— Majątek był poważny, około 1500 zł. Jako kasjer „Wici” naniósłem te pieniądze na fikcyjne kwity, tak że saldo wyszło na zero. Odczuwałem brak ośrodka kulturalnego, postanowiłem więc za uratowane pieniądze postawić nową remizę. Ale nikt by do tego nie dopuścił, zwłaszcza ksiądz Cwilong. Wobec tego zarząd „Wici” zawarł ze mną fikcyjną umowę na budowę szopy, z bratem zaś sporządziłem fikcyjną umowę na kupno działki pod budowę. Poszedłem do gminy w Sulmierzycach i od wójta Antoniego Fronczaka uzyskałem zezwolenie na budowę szopy na opał o wymiarach 18x9, z czterema oknami i jednym drzwiami...

Stolarz Bolesław Pacan, według umowy zawartej z zarządem „Wici”, wykonał swoją robotę szybko, wieczorem chłopci zwieźli materiały na plac i w nocy, przy pochodniach, postawili nową remizę!

Kiedy władze już rano ujrzały tę remizę, dwa razy większą od szopy, ze sceną, garderobą, bufetem i salą do tańca, przyszła na mnie kryśka i stanąłem przed sądem w starostwie. Wyrok — 25 dni aresztu, lub 250 zł grzywny. Odwołałem się od wyroku, do czasu jego wykonania co tydzień odbywały się zabawy. A dla mnie po każdej zabawie sypały się dwa tygodnie aresztu lub 250 zł kary.

Sąd wojewódzki utrzymał wyrok w mocy, gdyż według doniesienia pana wójta, „budynek został zbudowany w celach politycznych”. Stało się to w kilka dni po ślubie, więc żona zamiast spędzać ze mną noc poślubną, przez 25 dni nosiła do aresztu w Sulmierzycach bańkę z jedzeniem. A ksiądz Cwilong czerwonych z Bogumilowic wypędził z kościoła i kierował do diabelskiej kaplicy, czyli naszej remizy, bo tam, jak mawiał, bolszewiki udzielają spowiedzi, a nawet dają śluby...

W CIENIU AWANSU

Bogumilowice włączono do Rzeszy. Za Sulmierzycami był Protektorat. Kto zwążył, ten się brał do handlu. Marynia Kubiakówna wspomina, że nie mogąc przejść przez granicę, cały dzień leżała ukryta w lublinie z 15 kg cukru, bo tyle tylko mogła udźwignąć.

Wszyscy, co znaczejši działacze partyjni, poszli na wschód. Władysław Kubiak ukrywał się przy robotach drogowych. Potem zabrano mu wszystkie dzieci, kilkanaście rodzin wywieziono do Francji i Niemiec.

Pośród stawów nad Krasawą zabito Niemca. Co dnia spędzano ludzi do Stróży, wrzeszcze przywieziono ośmiu zakładników i rozstrzelano na oczach zebranych. Z rozkazu

Niemców rozbitano stary cmentarz, ksiądz Cwilong nie protestował...

Nie sposób w jednym raporcie przedstawić ze szczegółami historii wsi Bogumilowice. Nie sposób wymienić wszystkich walczących i ginących za władzę ludową. O zmarłych się zapomina. Zmarli już nie nie powiedzą, a żywi najchętniej mówią o sobie...

Warto jednak wymienić takich działaczy partyjnych, jak Stanisław Wiśniewski, Stanisław Knopik, Józef Wojciechowski. Warto też przedstawić przynajmniej kilku, spośród kilkudziesięciu, którzy z chęcią przysmarzyli głodem poszli w Polskę, osiągając wysokie, ważne stanowiska.

Czesław Domagała, był m.in. I sekretarzem KW PZPR w Łodzi i Krakowie; Bolesław Kusiak pracował na ważnym stanowisku w Służbie Bezpieczeństwa, Michał Kusiak, jako sekretarz KW w Zielonej Górze; Jan Kusiak jest dyrektorem cementowni „Warta” w Działoszynie, Alfred Kusiak kierownikiem Wydziału Propagandy KW PZPR w Łodzi; bracia Józefa Kapeli pracowali w ZG ZWM i ZMP, Janek po ukończeniu szkoły w ZSRR został przewodniczącym PPRN w Płońsku, zetwumowiec Kazimierz Kołaczek jest wyższym oficerem WP.

Nikt nie wiedział, czym dla Bogumilowic będzie w 25 lat później zakładana w 1949 r. pierwsza w województwie Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna, do której przyjechał ktoś ważny z Warszawy i pisał o niej książkę, ale jej nie skończył, gdyż zmarł. Z oporami powstawała ta spółdzielnia, której przewodniczącym został Franek Osiański. Miesiącami prowadzono rozmowy indywidualne, przekonywano ludzi. Gorzej było w Sulmierzycach, Mierniczy król się u sekretarza KG, Alojzego Kapeli. Kobiety stały przed kościołem i drzwiami biura. Mierniczy wymykał się oknem wychodzącym na podwórko. Chłopi pedzili za nim w pole, na koniach, z widłami i szpadami, kobiety z grabiami...

W 1956 r. rozwiązano spółdzielnię w Bogumilowicach. Ale kiedy w kilka miesięcy później ówczesny sekretarz KG PZPR Władysław Kubiak pojechał do Pajęczna, okazało się, że trzeba spółdzielnię złożyć od nowa, gdyż chłopci nanieśli mnóstwo podań z propozycją wkładów swoich gruntów. Było więc szybko zebrane w podwórzu u Miłopolskiego, potem w szkole ukonstytuował się zarząd i spółdzielnia odżyła. Jej przewodniczącym jest Stanisław Kowalski.

W Sulmierzycach również powstała nowa spółdzielnia, obie pracują nawet w kooperacji. Ci, którzy stawali kiedyś z widłami i szpadami przeciw wspólnej gospodarce, dziś idą do spółdzielni jak do ziemi obiecanej. Bo Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Bogumilowicach to milioner. W produkcji nie dominuje uprawa ziemi, lecz hodowla. Hydruje się bydło mleczne, bukaty, tysiące brojlerów. Średnia dniówka wynosi 115 zł...

W Bogumilowicach jest dziś nowa, murowana remiza OSP, zarówno spółdzielnia jak i gospodarze indywidualni wznoszą domy mieszkalne i budynki gospodarcze. Pośród nielecznych strzech czerwienią się i srebrzą dachy nowych domów, na nich wiele anten telewizyjnych. Jest nowa szkoła, Ośrodek Zdrowia, sklepy branżowe w świeżo wzniesionym obiekcie, przedszkole.

Ale za tym euforycznym ciągiem do nowego, w cieniu awansu kryją się inne, ważne ludzkie sprawy. Komendant Józef Kapela zwierzył mi się, że jego ojciec pozostał we wsi, część ziemi oddając w dzierżawę spółdzielni. Ostatnio napisał list, w którym prosi, aby syn przysłał mu tysiąc złotych na podreperowanie budżetu.

Tak, Bogumilowice ze wsi przeludnionej stały się wsią wyłudnioną, wsią ludzi starych. Odeszła z niej niemal połowa mieszkańców. Ci, którzy pozostali, dorabiali w melioracji na terenie przysłałej kopułki bełchatowskiej zacceniają się w cementowni działoszwiskiej albo w zakładach przemysłowych Śląska.

Z Bogumilowic dojeżdżają nawet do Katowic, wielu młodych osiedliło się na Ziemiach Zachodnich. Ściągają teraz rodziców, a opuszczone gospodarstwa przejmują Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna. Ludzie starzy, przywiązani do rodzinnej wsi, pozostają, oddając ziemię już nie tylko za czynsz dzierżawny, lecz i za rentę, której wysokość została ostatnio przez rząd podniesiona. Spółdzielnia przyjmuje ziemię, ratując wieś przed wymarciem...

Taka jest historia wsi Bogumilowice, o której w przewodniku „Ziemia Łódzka” mówi się lapidarnie, że z niej „wywodzi się wielu radykalnych działaczy społecznych”. W tym raporcie nie mówili o Bogumilowicach działacze najwybitniejsi, ale przecież im wszystkim, równo i sprawiedliwie, należą się słowa uznania i pamięć, która trwać będzie zawsze. Najnowsze czasy zmieniły obraz wsi i choć różne są ceny awansu to każda jednak ważna i nikt i nie jej nie przekreślił, bo wyznaczył ją dni Polski robotniczo-chłopskiej...

RYSZARD BINKOWSKI

WYKŁĘCI

Z

CZERWONEJ WYSPY

W szkole organizacja partyjna tajna, w kompanii tylko siedmiu partyjniaków. Oni, kiedy przyszło robić rewolucję, rozłożyli na czynnik pierwszy sztab i siedzibę PSL w Słupsku.

Z Prus Wschodnich „przeciekala” reakcja. Myśmy w pow. Tczew przez 10 dni zabezpieczali Referendum Ludowe. W Radomszczańskim zakładalem „pod bronią” spółdzielnię produkcyjną, w Rogaczewie i Olbrachciach pozostały do dziś, a ich zagorrali wrogowie pracują w tych spółdzielniach i dopiero z perspektywą minionego czasu właściwie oceniają tamte trudne lata. A jeśli idzie o Bogumilowice, to dobrze, że pan tam jedzie. Ludzie będą mieli na pewno wiele do powiedzenia...

Pojechałem do Pajęczna i z pomocą kierownika Pow. Ośr. Propagandy, tow. Snopkowskiego, w dzielnicy domków jednorodzinnych odnalazłem stryżka Alka, z którym udałem się do Bogumilowic...

dze, pod kamieniami szeleściły ulotki partyjne i jak szło wojsko, to oficer musiał kopać żołnierzy w tył, bo schylali się i wyciągali te ulotki.

Tak, w to święto majowe, policja chciała się wściec. No, bo na wysokiej topoli łopocze czerwony sztandar i nijk nie można go zdjąć. Budzą się rankiem policjanci w Sulmierzycach i Rzaśnie, a na ścianach i dachach posterunku czerwone szturmówki...

Mimo prześladowań — wróca Helena Kubiakowa — Ludzie poczuli się bezpieczniejsi jakby silniejsi. Stała za nimi partia. Kto się sprzenie-wierzył, zaskoczył to i jemu zrobiono pamiątkę na długie lata. Były różne sposoby. No i raz zjechał do wsi komornik z policjantem, soltys Głowacki pozał nazwiska dłużników i zaczął się obchodzić. Akurat mój chłopak pał krowy na pastwisku, a że mieliśmy coś dwadzieścia złotych długu w podatkach, więc komornik z policjantem zaraz tam pojechali i za-



Fot. Włodzimierz Parys

NAPAD NA POLICJANTA

Ciążyła bieda. Rosta w ludzkiej świadomości krzywdy i niesprawiedliwości. W 1932 roku powstały pierwsze komórki KPP. Inicjatorem i założycielem późniejszego Komitetu Regionalnego KPP w Bogumilowicach był Czesław Domagała, którego w pracy partyjnej od samego zaranka wspomagał: Michał Kusiak, Piotr Kusiak, Antoni i Stefan Kowalczy, Alojzy Kapela, Władysław Kubiak, Kazimierz Efemberg i wielu innych. Pełna długo lista działaczy znajduje się w archiwum.

Władysław Kubiak, który po wyzwoleniu, kiedy peperowcy wyciągano w nocy z łóżek i rozwieszano pod ścianą, trzy lata pod rząd był sekretarzem KG, a dziś odpoczywa na zasłużonej rencie, tak wspomina tamte czasy:

— Zbieraliśmy się na polu, w stodolach, mieszkaniach, nawet w kaplicach, bo tam wystawione czołki

brali krowy z cielakami. We wsi podniósł się lament, bo innym też zabrali krowy, Kapeli nawet szafę.

Kiedy zobaczyłam te przywiązane do wozu krowy i pomyślałam sobie, że moje nieciotko dzieci zostanie bez mleka, taki mnie ścisnął żal i w takie wpadłam nerwy, że chwyciłam noż i wpałam na niego. Za tym wozem za mną inne baby i chmura dzieciaków. Każda baba przystawiała się do swojej krowy, więc naliczając zaczął mierzyc z karabinu, ale Trojanowa trzasnęła go w łeb kamieniem. Na chwilę go zamroczyło, a my wtedy do krów! Ocknął się, dopadł mnie i szarpie, ale tak długo się opierałam, aż przetrzełam nożem postronok. Zrobił się gwałt. Wojciechowska walła policjanta kłębem po plecach, zębami czapkę, karabin też został w naszych rękach. A przy moście nad strumieniem już czekali chłopcy z widłami...

— Tak było — dokończył Kubiak — tylko, że moja dostała za to rok więzienia. Ale była amnestia, więc

Pieszko dotarłem do domu. Matka zginęła kilka dni przed moim powrotem, zostało pięcioro dzieci, najmłodsza siostra miała dziesięć lat, lecz nie było czasu litować się nad sobą. Niezłazem już Bolek Kusiak zakładając koło ZWM Sekretarzem została Krystyna Kusiak, skarbnikiem Wacław Słowikówna. Koło liczyło około 80 członków i dziesięć, wstępowali ci 40-latacy z Niemiec, zwłaszcza byli członkowie Związku Młodzieży Komunistycznej, działającego pod pseudonimem „Wici”.

No i reforma rolna. Na karku siedziała banda Danielaka, który cozał 36 ludzi m. in. komendanta milicji w Lubni, Jana Lipca, sekretarza KG PZPR w Faustynowie, Sobocińskiego i innych.

W Woli Wydrzynie założono komitet parcelacyjny, przewodniczącym był Kowalski z Bogumilowic, ale formalnie bali się narażać i przemawiać nadziałcy, więc członkowie naszej organizacji uprawiali tę ziemię.

Wchłonęły nas światła diabelskiego mlyna. Opodał za jasnym kregiem był inny wieczór. W czerwonych murach były salafactory, przedalini; ludzkie cienie majaczyły w małych okienkach; rodził się „Wyscig Pracy”.

— Sadzą park — Zbyszek wyciągnął rękę w kierunku północnym. Nie widziałem parku. Para suchotniczych drzewek, przywiązanych do brzydko ostruganych palików, dwie albo trzy ławki. Było pusto. Widocznie nikt nie lubił takiego parku.

3.

Jakieś dziewczyny przecinały plac zdążając do lunaparku. Poszliśmy, jak to się dziś mówi „za nimi”. Jeszcze naiwne, żarliwe i uparte. Marzyły o wielkiej przygodzie miłosnej. Czytałem potem ich pamiętniki. Pisały: „Boże, pozwól mi już dziś poznać mojego przyszłego męża i zacząć szaleć”.

— Chcecie na karuzelę?

Chciały, a jakże. Wirowało nam w głowach. Potem huśtawki, strzelnica. Przysiedliśmy na ławeczkach w tym nowym parku, by odpocząć.

— Tu będzie piękny park — trąkotała „Jadzia”. — Moja siostra mówiła, że nie będą uprzętałi gruzów. Park ma mieć kondygnacje i ogromne schody. Lubie długie, wilgotne schody...

— Dlaczego lubisz wilgotne?

— Bo ja wiem? Czy zawsze się wie dlaczego, gdy coś się lubi? Krystyna nie brała udziału w rozmowie.

— Chodźmy do „Zachęty” — zaproponowała wreszcie.

Nie pamiętam jak wyświełali film. Podglądałem smutną twarz Kryski, utopioną w zadumie. Była daleko od tego świata zdrowych, spokojnych ludzi

nieoczekiwanie w łódzkiej kawiarni. Była starsza o kilka lat.

— Nie wrócę do Heinricha.

— ???

— Za nie na świecie nie chcę tam wrócić...

???

chowniki czarnych okien, szuka znajomych. Dawniej można było z nich bezpiecznie obserwować różne ciekawe rzeczy.

Ojciec Jurka z przeciwka, nowego chłopaka Jadwigi, był jednym z takich, z którymi lepiej było się wie-

przy jednym stole na oerowni. Mieszka tu obok, na Wojska Polskiego. Musisz nam pomóc i to jeszcze dziś.

Sprawa nie była w tamtych czasach prosta. Wanda była w ciąży. Jej chłopak, przestał przychodzić. Wanda nie chciała tego dziecka.

Nie czekała odpowiedzi.

Obejrzała uważnie czerwona brykę krwi.

— W porządku — powiedziała, oddała Waldkowi pakuneczek, pozbywając się nas czym prędzej. Zdążyłem tylko zauważyć miednicę. W drodze, zabarwionej jodyną, leżał cienki, srebrny pręt. Ktoś jęczał w sąsiedniej izbie.

Wadek bezradnie trzymał pakiet w ręku.

— Jeśli już tak — rzekłem — musimy się tego pozbyć. Pojedziemy może na Dół, tam jest cmentarz.

Pokręcił głową:

— Za blisko mieszkam. Mogłby ktoś nas wypatrzeć.

Pojechaliśmy do lasu na Chelmy, Wadek wepchnął zawiniątko do opuszczonej króliczej nory. Nagarnął butem piachu, udeptał i odetchnął. Takiego pogrzebu miał jego pierworodny. Nie mogłem oponować.

Do miasta wracaliśmy milcząc. Na placu Wolności chciał mnie zaprosić na „ćwiartkę”. Odmówiłem ze wstrętem. Podał mi na pożegnanie wielką, piegawatą łapę.

Nie spotkaliśmy się już nigdy.

12.

Powrót z Marysińskiej jest uciążliwy. By dostać się do Wojska Polskiego trzeba przebiec się przez wiele nowo zabudowanych ulic i uliczek. Zaczynają się oświetlone witryny. Z jednej z nich spoglądają gipsowe modelki „Telimeny”, z drugiej dziecięce zabawki: kolorowe motylki na kółkach, zabawki, chrabąszcze, które ciągną się na sznurkach.

Dawniej nie było tu w ogóle zabawek. I dziś nie widać motylków na ulicach Starówki. Dzieci Starówki dorównały dzieciom Śródmieścia, żądając odrzutów TU-104, rakiet. Motylki są piękne tylko dla starych ciotek, które w swych umysłach zachowały szczątki dawnych czasów.

13.

Wstawał świt. W miarę jak z ciemności wynurzały się kolorowe domy — białe wspomnienia i twarze. Starówka patrzyła na mnie jak młoda dziewczyna, która nie przeczuwa gruzów pod jej stopami: tych lat, które leżą pod zielonymi skarpami, tych ludzi, którzy stracili tu młodość zanim wyrosły kolorowe domy i trysnęły fontanny...

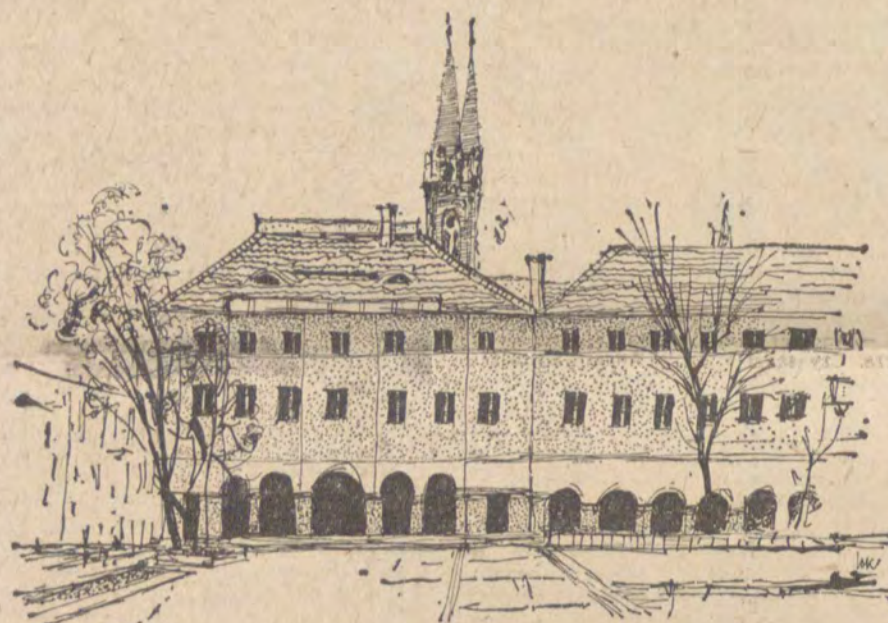
Ulicami Wojska Polskiego, Zgierską, Nowomiejską pędziły już pierwsze samochody — polewaczki. Jak na komendę otwierały się okna, brzęczały noze, widelce, talerze. Pachniała jajecznicą. Jak w ulu zawrzało w dzielnicach kolorowych domów. Przed szóstą dołączy do tych dźwięków szybki stukot butów gromad ludzi, zdążających do pracy. A jednak pozostała robotniczą dzielnicą.

14.

Zza szyby otwartego na parterze okna kolorowego domu na Francisz-

JERZY PILICHOWSKI

CZTERNAŚCIE TWARZY STARÓWKI



Rys. W. Kondak

w „fufajkach” i ich jaskrawo umalowanych głośnych dziewcząt.

4.

Plac Kościelny. Już tu przywędrowałem? Czarne sylwety wież kościelnych. Nietoperze — nocna zmiana dziennych, hataśliwych kłówek Jota w łote taka sama noc jak wtedy, gdy wracaliśmy od Jadzi. Wyznał mi Zbyszek: Kocham Krystynę.

Mieszkała w okropnym domu róg Nowotki i Wschodniej. Jedno i drugie przestało się uczyć. Wiedziałem, że chodzili razem do takiego jednego zrujnowanego domu na Franciszkańskiej...

— Byłem u niej — powiedział mi kiedyś. Nie chwalił się; był smutny. — Jej „stary” powiedział, że „lepszych ode mnie łufekiem wvvnchał”... Pokazał mi paczkę listów. Pochodziły z Wiednia.

— Z Wiednia?

W ostatnim roku wojny pracowała na dworcu Łódź Kaliska. Myła szyby w pociągach i wtedy poznali się. On był w mundurze niemieckiego żołnierza. Dał jej adres. Pisywali. Ojciec tłumaczył jej listy...

Nie umiałem pocieszyć Zbyszka...

5.

Od tego czasu wiedziałem dlaczego Krystyna jest myślami daleko. W kilka lat później (po uzyskaniu przez Austrię niepodległości) wzięli ślub. Heinrich zabrał ją do swoich rodziców w Semmering niedaleko Wiednia. Jeździła „Flatem”, przewyślała widoków z hiszpańskich miast.

W dwa lata później spotkałem ją

— Czy zawsze wie się dlaczego? Nic więcej nie powiedziała. Laziliśmy po Starówce. Te domy, ulice, neony powstały jeszcze przed tym. Nie dostrzegaliśmy ich — dziś odkrywała je na nowo.

czorem nie spotkać. Ilekroć chciał jakimś przechodniowi zabrać zegarek wylądował kilka najbliższych latarni ulicznych. Nigdy nie nakryto go na żadnej poważnej robocie, choć obrabowano w tej dzielnicy wielu ludzi. Razu pewnego, podczas ścigania bandziorów, milicjanci znaleźli go w łóżku — w butach i spodniach!

Balkon dawnego oprycha jest dziś tak samo zaniedbany jak przed laty. Przez uchylone drzwi kwili dziecko. W wąłym światłoku zapalonej żarówki snuje się cień młodej kobiety w długiej koszuli. Przyryka drzwi balkon. Widzę wyraźnie — to nie Jadwiga. Tamtej pozostała w pamiętniku kolejna „wielka pomyłka”.

Na ul. Franciszkańskiej róg Obrońców Getta widno jak w dzień. Jarzeńcówki gasi i zapala elektrownia. Za to dziadek kwilącego brzdąca, sypia teraz zapewne w podziamie.

8.

Tereny getta. Wchodzę w ciche nowe uliczki, błędę wśród nowych domów. Trudno mi znaleźć miejsca w których rozciągały się druty. Nie ma żadnych śladów. Może to dobrze a może źle? Moja pamięć sięga niedaleko, ale pamięć młodszych jest jeszcze krótsza...

Pamiętam mosty. Czarne, drewniane mosty. W „czasach pogardy dla człowieka” na tych mostach urodziła się smutna piosenka, śpiewana najpierw przez nieszczęśników za drutami, a potem przez całą Starówkę.

My idziemy w górę
My idziemy w górę
A wy w dolinę...
My jemmy chleb z marmeladem
A wy z margarynem...

Tak było w piosence. W rzeczywistości zaś nikt nie szedł w górę. Wszyscy staczaliśmy się w dolinę.

9.

Mała uliczka Jakuba wiedzie do nowoczesnej „Arkadii”. Mocna niegdyś kamienica na rogu Franciszkańskiej podparta stemplami. Będą ją rozbierali czy starali się umocnić?

Kilkanaście lat temu spod tej bramy, do dziś odrapaniej jak brama do piekieł, dobiegał taki dialog:

— Franek postaw „ćwiartę”.
— Nie mam „szmalu”.
— Ty... tu następował sprośny rzeczownik — a te szpulki coś je po południu „spvili” to co?

— Stul ryj...
Po chwili przed nami kołysał się na odnóżkach inny bandzior z obrzękłą głową.

— Spieprzać! Pokazał nam drogę.

10.

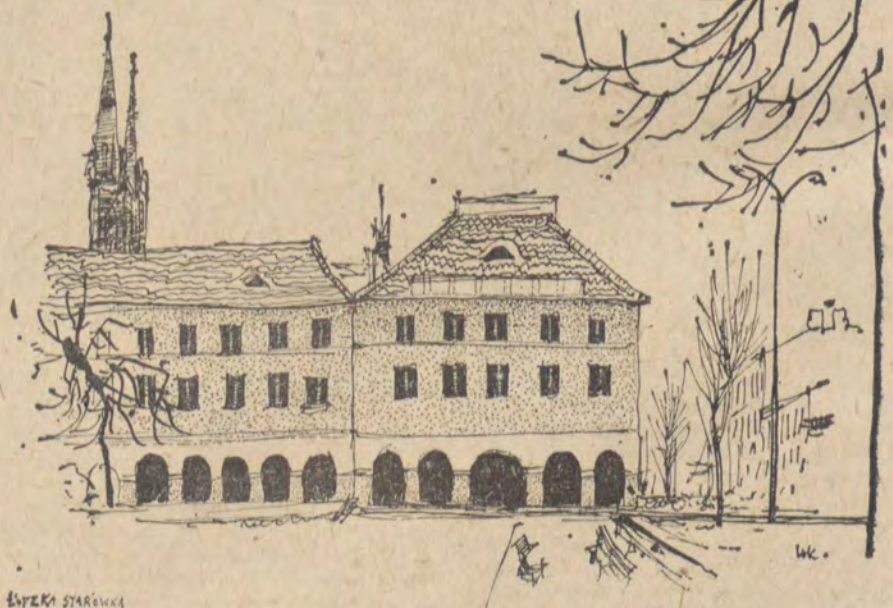
Jak zabrnąłem na ulicę Marysińską? Aha, „Wróżka”. Wanda — dwa zrozumiałe kryptonymy.

Któregoś dnia zastałem u Anny jej koleżankę.

Anna: — to jest Wanda, pracujemy

11.

Nazajutrz przyszedł chłopak Wandy. Ryzy, dobrze zbudowany. „Rozmyślił się” — mówił i zaniepokoił o dziewczynę. Nie przyszła na noc do domu.



Rys. W. Kondak

Miał głupią minę. Zawinęły coś w papier, kazali mu doręczyć „to” na ulicę Marysińską. „Wróżka” chciała „to” obejrzeć. Nie znał adresu, poszliśmy razem.

„Wróżka”, kobieta z drobnym czarnym wąsikiem, około lat trzydziestu, przyjęła nas w kuchni, nie ukrywając ironii.

— Dlaczego dwóch?

kańskiej patrzyła na mnie własną twarz. Kołysała się na wietrze wraz z oknem, zmięta, szarawa.

Byłem bardzo zmęczony tą włóczęgą, tak jak zmęczony jestem teraz odtworzeniem tych 14 twarzy Starówki; jej ludzi, obrazów i dzieł. Startych przez czas, które musiałem przeżyć na nowo.



Z DANIELEM OLBRYCHSKIM

rozmawia EWA NURCZYŃSKA

— Pana debiutem aktorskim był udział w Młodzieżowym Studio Poetyckim TVP w 1961 roku, ma więc Pan prawie trzy-nastoletni staż aktorski, lata wyjątkowej aktywności zawodowej, lata warsztatu teatralnego i filmowego, role, o których marza aktorzy — wielka klasa w teatrze i postacie bohaterów wielkiej klasy literackiej, skonkretyzowane w filmowych obrazach. Czy słowa „dziecko szczęścia”, jeśli sukces i sława jest miarą aktorskiego zawodu, nie obrażają Pana?

— Nie. W jakimś sensie jestem owym „dzieckiem szczęścia”. Przeżyłem niecałe trzydzieści lat, ale wchodziłem w okres, kiedy człowiek myśli o tym, ile mu zostało i zdaje sobie sprawę z tego, że w życiu robimy tylko chwilę tego, co zamierzamy. Gdy patrzę więc na to, co zrobiłem dotąd, odczuwam, że nie jest to wiele. Brzmi to może nieco kokieteryjnie, ale ludzie, którzy zajmują się sztuką, czują zapewne silniej niż inni, że to, do czego zmierzają, ucieka im coraz dalej. To moje subiektywne spostrzeżenie na ten temat. Patrząc jednak obiektywnie na moje życie i porównując je z losem moich kolegów aktorów, spośród których tylko niewielki procent może powiedzieć, że osiąga pełną satysfakcję ze swej pracy, muszę stwierdzić, że ów los był dla mnie jaskraw. Mając 16 lat już występowałem w TV, w 18-tym roku życia spotkałem Andrzeja Wajdę, w 23 Adama Hanuszkiewicza i na tle tego, co wówczas w sztuce polskiej się działo, mogę sądzić, że to mi nie umknęło. Tak jakby los wszystko postawił przede mną i pozwolił mi się z tym zmierzyć.

— Czy mógłby Pan ten los jakoś zobjektywizować? To znaczy, co, poza niezaprzeczalnym Pana talentem aktorskim, i umiłowaniem zawodu, jakie czynnik w warunkach naszej kultury sprawiło, że mógł Pan w tak młodym wieku osiągnąć tak duży sukces?

— Niewątpliwie zdecydowały o tym warunki, o których Pani mówi. Wydaje mi się, że ludziom, którzy mają talent czy po prostu predyspozycję do aktorskiego zawodu, a nad tym talentem umiela pracować, trudno się w naszym kraju ukryć. Nie ma przecież nadmiaru utalentowanych ludzi, spośród których reżyserzy wybierają przypadkowo i po omacku. W radio, telewizji, w mniej lub bardziej profesjonalnym teatrze zostają wcześniej czy później wypatrzeni. Mnie zdarzyło się to bardzo wcześnie — zdecydowała o tym TV, która wyrwała mnie z anonimowości, a później przyszedł do szkoły teatralnej Wajda, szukając wykonawcy roli Rafała z „Bromskiego”. Gdybyśmy żyli w większym kraju, znalazłby może młodego aktora już z większym niż mój warsztatem. Jeśli porównać tę sytuację z warunkami profesjonalnej kinematografii Zachodu, to oczywiście zdarza się przykłady podobnego losu jak mój, lecz zazwyczaj stoi za nim wielka machina filmowego biznesu i reklamy. Przypadek Jamesa Deana, który był talentem, faktem dotąd nie spotkałem, jest skrajny. Jednocześnie w czasach mody na Deana, Newmana czy Brando tacy aktorzy jak Hackmann, czy Hoffmann znaleźli w strasznej konkurencji, mimo że wszyscy wiedzieli, że są utalentowani. U nas tacy aktorzy nie pozostali anonimowi, choć ich sukcesy byłyby proporcjonalnie mniejsze. Jesteśmy przecież głównie aktorami naszego kraju, tylko niektórym udało się przebić na popularność w naszym obozie, niewielu znanych jest na Zachodzie — tak naprawdę to udało się to tylko Zbyszka Cybulskiego. Moim szczęściem było to, że trafiłem na Wajdę, to było decydujące. On nie pozwolił mi mieć ani jednego roku, w którym bym musiał powiedzieć, że nie nie zrobiłem.

— Pana droga aktorska wiodła w zasadzie od filmu ku teatrowi. Czy miało to wpływ na zespół środków wyrazu aktorskiego w Pana scenicznej pracy?

— Tak naprawdę, to ja nie bardzo wiem, co to jest zespół środków. W tej chwili mówi się o mnie, że jestem aktorem umiającym już dużo, że dobrze mówię. I rzeczywiście chyba tak jest, ale to dlatego, że dużo nad tym pracowałem, a obecnie podstawowym treścią mojej mowy scenicznej są koncerty poetyckie, z którymi jeżdżę po kraju. To bardzo wyczerpująca praca, ale dająca ogromną satysfakcję, ona nauczyła mnie mówić, operować głosem, nawiązywać kontakt z widownią. Może to sugestywność i plastyczność nóg byłym nazwać pewnym zasobem środków, ale wówczas, gdy uczyłem się aktorstwa, owych środków uczyłem się sam. Trudno przecież mówić, że odbyłem jakieś grutowne studia aktorskie. W czasie roku studiów nie nauczyłem się dykcji, otrzymałem do niej tylko klucz. Nie byłam już profesorem łódzkiej szkoły teatralnej Irena Wojtyłki, wpoiła mi przyjemność pracy nad słowem, potrzeby umiejętności wyrażania się

słowem, a świadomość mówienia to bardzo ważny warsztatowy moment. Natomiast środki grania w ogóle? — cały czas obserwowałem siebie uważnie, jak się zachowuję, kim jestem, co myślę o świecie i sobie poprzez te teksty, nad którymi pracowałem. Zrozumiałem, że samo wyrażanie siebie w swojej codzienności to za mało, żeby podobać się, żeby zafascynować widownię. Musiałem zacząć wyrażać swoje marzenia, tęsknoty, idee i dla nich znajdować środki wyrazu.

— A jaki w tym mieli udział reżyserzy, z którymi Pan pracował?

— Cały czas w filmie pozostawałem pod wpływem Wajdy, Kutza, Morgensterna, Hoffmanna, którzy są tymi reżyserami, którzy umiela rozmawiać z aktorami ich językiem. Wymagali ode mnie wiele i wobec tego moje wymagania wobec siebie musiały rosnąć. Poza tym oglądałem siebie na ekranie, od razu zetknąłem się z brutalną konfrontacją tego, co sądzę o sobie

Nie chodzi tu tylko o rolę, w których Pan galopuje konno, chodzi o pewną świadomość fizyczności i sprawności, nazwijmy ją może męskością postaci, widoczną właśnie w amerykańskim kinie.

— A tak! Pani mówi o wpływie na charakter, na zrozumienie i istotę postaci filmowej. Ja na przykład bardzo cenię sobie uwagę Jerzego Kuleja, który nie tyle ocenił to czy ja lepiej lub gorzej boksuję, lecz to, jak ja się zachowuję przed walką, jak się denerwuję. Ja tego nie grałem, nikogo nie podpatrywałem, po prostu przeszedłem przez treningi i walki sparingowe, znałem strach przed porażką. Gdy wsiadam na konia, nie muszę pokazywać jak dobrze jeżdżę — po prostu jeżdżę i to widać. Łatwość, z jaką powstają na przykład role samurajskie czy westernowe, ma swe źródła w dużej kulturze fizycznej mieszkańców Japonii czy Ameryki. Moje sportowe umiejętności powiększyły zasób moich ról. Gdybym nie miał z sobą sportowej młodości, grałbym prawdopodobnie tylko w takich fil-

mach, jak „Krajobraz po bitwie”, „Brzezina”, „Wesele”, a mój Hamlet byłby bardziej delikatny i neurasteniczny. Sprawa ta nie świadczy o wielkości talentu, lecz o możliwości wykorzystania go na różne sposoby, o szersze wyrażania się w różnych rolach.

— Na ile świat Pana bohaterów rzutuje na Pana prywatność, na kontakty ze światem i jego odczuwanie?

— Pracujemy w bardzo szczęśliwym zawodzie, oczywiście ci, którzy mają okazję dużo grać i to, na co mają ochotę. Tacy aktorzy mają możliwość głębszego kontaktu z literaturą, a nawet najbardziej uważnych czytelników, krytyków czy teoretyków. Aktorzy literaturę tę muszą odczytać i odczuć poprzez siebie do końca. I dlatego oddziałują na nich w sposób najmocniejszy. Decyduje o tym owa intymność. Aktor, który przeszedł na przykład przez „Hamleta”, rozprawy teoretyków traktuje może z szacunkiem, lecz silniej odczuwa ich akademickość. Oczywiście nasz kontakt z literaturą jest z konieczności dość ilościowo uboższy, ale to, co czytamy, zapada u nas głęboko i to musi nas kształtować. Gdybym nie był aktorem i wykonywał inny zawód, mój światopogląd, wartości, wyobrażenia, świadomość siebie byłaby o wiele młodsza. Nie mówię o tym, co mi się udało przekazać widzom, bo to nie zawsze wchodził tak jak by się chciało, lecz o tym, co było z moich ról dla siebie — a o to mnie Pani pytała.

— Grywa Pan z równym powodzeniem bohaterów w historycznym kostiumie, jak i współczesnych, choć tych ostatnich rzadziej. W których rolach osiąga Pan większą osobistą satysfakcję jako aktor i jako Daniel Olbrychski?

— Trudno mi mówić o rolach współczesnych. Jedynym filmem, który był dla mnie przeżyciem moralnym, artystycznym i prywatnym było „Wszystko na sprzedaż”. Jak dotąd, więcej z nas współczesnych, z siebie samego znajduję w wielkiej literaturze przeszłości niżeli we współczesnej, która nas nie wyraża.

— Wspominał Pan „Wszystko na sprzedaż”. Przy filmie tym odczuwano pewną symboliczną sytuację i postać. Czy czuje się Pan w jakiś sposób kontynuatorem tradycji, którą uosabiał Zbyszek Cybulski, czy czuje się Pan wyrazicielem kolejnego pokolenia młodych?

— Nie, nie czuję się wyrazicielem nikogo jako aktor nawet siebie wyrażam bardzo niepełnie. Postawiono mnie w tym filmie w sytuacji następcy Zbyszka, przeciwko czemu sądziłem, właśnie moja rola gorąco zaprotestowałem. Zbyszek Cybulski wypełnił jakieś postanowienie, jemu się to udało. Zagrał rolę, która wyraziła to, co leżało na sercu całego narodu. Swoim talentem i osobowością wypowiedział to, co bolało, trafiało na moment, w którym publiczność spotkała się z nim w ów drogi. Ja na rolę taką nie trafiłem i nie takiego nie wyrażałem. Chodzę swymi rolami po pewnych marginesach naszych współczesnych problemów i zainteresowań. W Sienkiewicz na przykład mówiłem o naszych tęsknotach. Grając Poetę, który przeszedł obóz koncentracyjny, sam rozumiałem wiele, lecz nie mogę u-

zrównać sobie, że wyrażałem problemy pokolenia. Można mówić, że byłem gorszym lub „epszym” aktorem, w każdej roli zostawiałem cząstkę siebie, lecz w moim przypadku nie powtórzył się fenomen Zbyszka Cybulskiego.

— Wobec tego czy ma Pan świadomość roli współczesnego człowieka, którego chciałby Pan zagrać?

— Nawet nie wiem, czy Zbyszek miał tę świadomość. Nie. Przyszedł temat i postać i właśnie on mógł ją zagrać tak genialnie, jak to zrobił. Ja też nie jestem w stanie powiedzieć, co i kogo chciałbym wyrazić. Gdyby przyszła taka rola to właśnie Pani powiedziałaby — to jest to! To jest również odpowiedź na pytanie o „dziecko szczęścia”. Kończąc za rok trzydzieści lat, miałem niby wszystko, wszystkie możliwości, a nawet nie wyrażałem siebie. I gdyby mi się to udało nie sądzić, że byłoby to wyrażeniem mojego pokolenia. Nie było dotąd jednak ani takiej książki, ani takiego filmu, który pozwoliłby mi spróbować.

— Pytanie trochę z innych rejonów. Co Pan jako aktor najbardziej ceni w sztuce reżyserskiej dwóch swoich mistrzów i przyjaciół — Adama Hanuszkiewicza i Andrzeja Wajdę?

— Wspólna, choć inna przy ich różnej wrażliwości i guście, lecz wyróżniająca ich zdecydowanie spośród innych reżyserów z którymi się zetkną-

łem, niezwykłą intuicję. Oni czują coś o wiele wcześniej niż inni. Wiedzą, co jest dobre, co złe — wystarczy im ćwierć słowa, pół gestu. Obydwaj mają cudowny sposób myślenia formą, choć każdy inny — bo jeden w teatrze a drugi w filmie. Są wspaniałymi profesjonalistami w swoich zawodach, a ja od obu uczę się różnych rzeczy.

— W czym Panu pomogli najbardziej?

— W tym, że nie usilowali mnie zmieniać, a wydobywali ze mnie to, co wiedzieli, że jest najlepsze. A przecież mogli chcieć lepiej ode mnie, bo patrzyli na mnie z boku oczyma tak utalentowanych ludzi.

— Andrzej Wajda reżyseruje w teatrze. Czy sądzi Pan, że Adam Hanuszkiewicz mógłby zrobić film?

— Tak, jestem o tym głęboko przekonany. Boję się tylko, że Hanuszkiewicz doszedł do takiego etapu, iż mu wygodniej robić teatr. Stoi dziś na nim zresztą Teatr Narodowy, a robiąc film musiałby się z nim prawie na rok rozstać. Hanuszkiewicz jest wielkim kinomanem i ma zawsze bardzo omyślny i profesjonalny sąd na temat filmu. Tak on byłby wspaniałym filmowym reżyserem. Poza tym znakomicie zna telewizję i operowanie kadrąmi nie jest dla niego tajemnicą. Jeśli Hanuszkiewicz tak cudownie wykreślał poematy w teatrze, „Beniowski” w kinie byłby jeszcze piękniejszy.

— Zbliżamy się do końca naszej rozmowy. Gra Pan rolę Karola Borowieckiego w „Ziemii obiecanej” reżyserowanej przez Andrzeja Wajdę. Czy udział w tym filmie pozwala Panu spojrzeć na Łódź inaczej niż dotąd?

— Wie Pani, zawsze dziwiłem się trochę Tuwimowi, który pisał: „Nie miałam serca dla Warszawy, gdy opuszczałem miasto Łódź”. I wyznaję, że chyba „Ziemia obiecana” będzie wdzierała to, że Łódź będzie mi bliższa i w swoich współczesnych jeszcze kontrastach, i w swojej przeszłości bardzo dramatycznej i okrutnej, pięknej i prostej zarazem, takiej dziwnej i szalenie normalnej. Tak jak i przy innych filmach brałem rozumienie historii i miejsce, tak i przy „Ziemii obiecanej” biorę zrozumienie Łodzi. Sądzę, że film Wajdy może jeszcze bardziej niż powieść Reymonta pokazać Łódź jako miasto z historią, która na tle całego dziejów Polski była tak inna. Reymont dał w swej powieści wspaniałe tło historii miasta i ludzi, historii gwałtownej, niezwykle i w naszych warunkach unikalnej. O to to jesteśmy spokojni, ale pokój nas bohaterowie, zwłaszcza główny — ten, którego gram. Jest on wśród innych postaci jedynym Polakiem działającym, aktywnym, jest jednak inny niż Wokulski, choć bliższy jemu niż Kmicieciowi. Ja gram jednak człowieka, który w XVII wieku mógłby być Kmicieciem, w końcu XIX w. jest Borowieckim, bo takie były czasy, takie było to miasto, w którym żył, miasto, w którym krzyżowały się różne kultury, w którym toczyła się historia inna, niż gdzieś indziej w Polsce. Wierzę, że ten film będzie nobilitował tę historię, będzie odkrywał jej karty obce, czy tylko nieznane.



Film polski zwykł od dłuższego czasu błyszczeć światłem odbitym. Światłem literatury. „Wydarzeniami” minionego sezonu były ekranizacje utworów znanych z lektury szkolnej: „Wesele”, „W pustyni i w puszczy”, „Chłopi”. Publiczność ochoczo mknęła do kin, by przekonać się naocznie czy utrwalały na taśmie obraz ulubionych bohaterów i ich perypetii odpowiada kształtowanym przez szkołę i wieloletnie tradycje wyobrażeniom.

Cały wysiłek realizatorów skupił się na mniej lub bardziej dosłownym ilustrowaniu treści utworów literackich, wysiłek zaś widzów na sprawdzaniu czy wszystko się zgadza. Wszelkie odstępstwa od oryginałów piętnowano zdecydowanie i surowo w obronie honoru mistrzów i wieszczów oraz świętej literatury — matki naszej.

W istocie czcigodna matka literatura traci w owych niebezpiecznych związkach z filmem polskim nie tylko część ale i urodę. Traci swą wieloznaczność, głębię, bogactwo podtekstów i skojarzeń, piękno języka, a przede wszystkim styl. Biorąc osoby i sytuacje, dialogi i kościół fabularny filmowcy zadowalają się wszak tym co najbardziej oczywiste w dziele literackim, najbardziej zewnętrznym.



Fot. Włodzimierz Parys

ne i naskórkowe. Jedynie Has w „Sanatorium pod klepsydrą” pokusił się — choć nie zawsze niestety z powodzeniem — o znalezienie ekranowego odpowiednika stylu pisarza, jego sposobu odczuwania i kreowania rzeczywistości, specyfiki jego wyobraźni. Na usprawiedliwienie Hasa dodajmy, że przenosząc na ekran prozę Schulza dał świadectwo czystych, szlachetnych ambicji, podejmując zadanie nieomal ponad siły, wybierając autora niezwykle trudnego i opornego wobec wszelkich zabiegów przekładowych.

Literatura — o ile nie traktować jej jako materiału do produkowania efektownych i „chodliwych” komiksów — mogłaby stać się tak pożądaną dla filmu szkołą wyobraźni, wrażliwości, świadomej kompozycji, stylu, szkołą „pisaną kamerą” i wyrażania czegoś więcej niż to co zostało napisane.

Niestety, film nasz trawi choroba dosłowności. Dosłowności tematów, sytuacji, postaci, dialogów, gry aktorskiej. Nawet symbole, którymi z takim upodobaniem posługuje się polskie kino bywają dosłowne. Słynny „złoty róg” w „Weselu” Wajdy jest takim sobie zwyczajnym, sporej wielkości ciężkim rogiem i aż dziw bierze, że Jasiek mógł go tak niepostrzeżenie zgubić. Adaptacja Wajdy przypominająca telewizyjny spektakl z filmowymi dokrętkami stanowi znakomity przykład jednomyślnego, w pewnym sensie uproszczonego odczytania arcydzieła Wyspiańskiego. Pomysł inscenizacyjny zastępują tu zrodzoną z niepokoju wyobraźni wizję poety, przejrzyste aluzje — bogactwo znaczeń pierwowzoru, poszczególne obrazy ilustrują założenia przyjętej interpretacji. Nieprzypadkowo najlepiej udało się Wajdzie część obyczajowo-satyryczną. Za brakło natomiast oddechu dla wielkiej metafory.

Można zaryzykować twierdzenie, które przez swój generalizujący charakter krzywdzi zapewne indywidualne intencje i dokonania, ale nie mniej charakterystyczne, jak sadzę, istniejący stan rzeczy, a mianowicie: realizatorom naszym brak świadomości posługiwania się tworzywem filmowym z jednej strony, brak wiary we wrażliwość i inteligencję widzów z drugiej.

Kino dzisiejsze w swych najcięższych poczynaniach stara się odejść od konwencji obrazkowego

przedstawiania fabularnej intrygi. Zdobyło ono, właściwą literaturze, świadomość własnych możliwości językowych, świadomość formy. Stara się oddziaływać na widza nie wprost, nie dosłownie, atakuje jego wyobraźnię. Operuje w sposób wyrafinowany i przemyślny dynamizmem ruchów kamery, kompozycją kadru, barwą, dźwiękiem. Konstruuje swą rzeczywistość, przetwarzając na własny użytek materialność przedmiotów i ludzi. Sugeruje znaczenia i zarazem próbuje je wydrzeć „obiektywnej rzeczywistości”. Często nawet nie liczy się z prawdopodobieństwem zdarzeń i sytuacji, podporządkowując je własnej, wewnętrznej logice. Tworzy swój niezależny, autonomiczny świat, swoje parabole. Forma i język stają się nośnikami sensu. I to nowe kino dzięki swej otwartości, dzięki swej pojemności znaczeniowej podejmuje problematykę wykraczającą poza dotychczasowe doświadczenia sztuki filmowej, otwierając w ten sposób nowy etap dialogu z literaturą.

Świadectwem anachronizmów nurtujących polską kinematografię jest stałe narzekanie na brak dobrych scenariuszy. Odzwierciedla ono faktyczny status polskich reżyserów filmowych — inscenizatorów i ilustratorów, w najlepszym zaś razie interpretatorów cudzych fabuł, cudzych koncepcji, cudzych wizji. Sprawnie konstruowane scenariusze potrzebne są przede wszystkim dla podniesienia poziomu produkcji rozrywkowej, natomiast sztuce tzw. ambitnej potrzebni są reżyserzy, którzy mają coś do powiedzenia i umieją myśleć w języku filmowym. Należałoby wręcz uświadomić sobie, że powikłania fabularne i dialogi nie są jedynym i ostatecznym narzędziem wyrażania określonych treści i znaczeń w dzisiejszym kinie.

Metodę obrazkowego ilustrowania dramatu wielkiego uczonego wybrał twórca Kopernika — Ewa i Czesław Petelscy. I tu tkwi zapewne przyczyna słabości ich dzieła. Ogładamy efektowne kadry, słuchamy wzniosłych dialogów, patrzymy na odgrywających swe role aktorów. I odczuwamy wrażenie, że obcujemy z tworem monumentalnym, pełnym rozmachu wprawdzie, ale zimnym, pustym wewnątrz, pozbawionym autentycznej żywotności. Potencjalny dramat o uniwersalnej wymowie wpisany został w ramy szkolnej czytanki. Ilustracyjność prowadzi bowiem do uproszczenia i płaskiej jednomyślności.

Reflexyjność dialogów i konwencjonalność gry aktorskiej stanowią dalsze konsekwencje przyjęcia jako nadrzędnej zasady twórczej ilustracyjności i dosłowności. Większość spraw w polskich filmach załatwia się przy pomocy dialogów — ciężkich, długich, sztucznych. Nado



Fot. Włodzimierz Parys

rzecz zmienna: postaci nie rozmawiają ze sobą, a przemawiają do widza. Dialog jest więc nie tyle elementem wewnętrznej dramaturgii dzieła, ile narzędziem argumentacji, skierowanej niemal bezpośrednio do odbiorcy. Sprzyja temu dominujący na naszych ekranach typ gry aktorskiej, wywodzący się z teatralno-telewizyjnych źródeł. Aktorzy z przejęciem, z doskonale opanowaną dykcją recytują swe kwestie do kamery, mimiką i gestem podkreślając ważniejsze sformułowania. Aktor najczęściej nie kreuje postaci, on ją odtwarza. przekazuje. Reżyser zaś najczęściej wychodzi z założenia, że kolejne sceny ilustrują dany już od początku gotowy model bohatera, nie zaś odsłaniają, ujawniają pewne cechy jego osobowości, ukazane jako proces ciągłego stawania się.

W rezultacie film polski błąka się po peryferiach istotnej problematyki naszych czasów. Nie potrafi włączyć się w owo trudne i gorzkie poszukiwanie wartości autentycznych i os-

tatecznych, stanowiące dziś, jak się zdaje, wyróżnik najbardziej ambitnego i najbardziej nowatorskiego nurtu światowego kina.

Zagubiony między referatową retoryką a małym realizmem, teatralną koturnowością a żalosnym kultem „prawdulek” film nasz nie posiada ani intelektualnej przenikliwości, ani mitotwórczej siły.

Oczywiście nie ma reguł bez wyjątku. Dlatego wspomnieć wypada o tych twórcach, którzy nie ulegają marazmowi i łatwiznie, o twórcach, którzy próbują dać wyraz swoim najgłębszym niepokojom moralnym, którzy dostrzegają perspektywę dalsze niż bezpośrednio odczuwalną aktualność. Myślę tu przede wszystkim o Tadeuszu Konwickim i Krzysztofie Zanussi i myślę także o Edwardzie Żebrowskim, autorze „Ocalenia”. Są to prawdziwi autorzy filmu polskiego.

MARIA KORNIATOWSKA

RÓWNANIE W GÓRĘ

David Hume ogłosił kiedyś, że „wartość każdej rzeczy może być określona przez tylko przekonanie czy uczucie danej jednostki, (...) uczucie, przy wydawaniu swego sądu o jakiejś rzeczy, rozważa ją nie po prostu taką, jaką jest sama w sobie, lecz wraz ze wszystkimi okolicznościami, które jej towarzyszą. Człowiek posiadający brylant uniesiony jest radością nie tylko dlatego, że ma przed sobą błyszczący kamień, ale także z powodu jego rzadkości, która jest główną przyczyną jego przyjemności i zachwytu”. Wiele jest kopaczy diamentów, lecz rzadko kto je znajduje — a nawet jak znaleźć, nie zawsze umie go oszlifować.

Kino polskie od dawna zwykło uciekać pod skrzydła rodzimej a wielkiej literatury. Chowając się w jej cień żyje nadzieją snów o potęgę. Dramaty narodowe mają to do siebie, że trudno je powtórzyć. Tzn. można je przenieść na ekran — popierając nawet całe przedsięwzięcie miłymi uchu recenzjami paryskimi, ale ferment intelektualny, jaki w narodzie wywołują, odsyła zawsze do literackiego oryginału, który przeświadcza blaskiem przez filmową tkaninę i który zjednuje sympatie niejako przez wymuszenie.

Żeby móc przetrwać prawdziwe mosty między współczesnością a historią, potrzeba owego stanu skupienia uwagi, jaki psychologia społeczna uznaje za nieodzowny warunek do wytworzenia się dynamicznego napię-

cia między świadomością tych, co są i tych co byli. Inaczej narodowe świętości są wartościami bezwzględными, składanymi w ofierze na ołtarzu świątyni, do której wprawdzie wala tłumy turystów, bo zaznaczona jest gwiazdka w baedekerze, ale w której nie ma boga. A trzeba tego dokonać, aby trafić w punkt, w jaki polski film trafił lat temu kilkanaście. I wiedzieć dlaczego to wtedy się udało?

Mogłoby się wydawać, że sugerowany tu model podważa suwerenność filmu jako sztuki, że zmusza do uległości wobec wszelkiego rodzaju pragmatycznych potrzeb, że każe odgrywać rolę kłapy bezpieczeństwa. Albo, że daje szermierzom postępu moralny do odgrzewania stęskniewcówskich wątków, programów pana Prusa tudzież pani Orzeszkowej i brania ich wysoko na sztandary? Bynajmniej. Chodzi o to, by ambitne kino wyprzedzało nasze potoczne myślenie, by otwierało oczy albo zdejmowało z nich okulary, ale by nie zmuszało do wpatrywania się w znajome i dobrze znane, gdyż wtedy dialog z tradycją należy do klasy tzw. ruchów pozornych, zaś złośliwi wyczuwają zaraz szansę na orację, których motywem przewodnim odrywanie kuponów od sukcesów wielkich poprzedników, co to rzucają na kolana i poprawiają statystyki.

Wydało się, że od jakiegoś czasu ma się na lepsze. Mówiąc dokładniej od debiutów Zanussiego, Królikiewicza i Krauzego, od wejścia w obieg kultu-

ralny „Stru-tury kryształ”, „Życia rodzinnego”, „Iluminacji”, oraz takich filmów jak „Na wylot” i „Palcę boży”. Do głosu doszło pokolenie, które nie gnane jest potrzebą identyfikacji ani z popularnymi mitami ani z okazjonalnymi czysto hasłami, których trwałość liczy się na miesiące. Uprawiają kino nie zaciągając intelektualnych długów u nikogo — na miarę swych ambicji i pragnień, choć z nie małym trudem. Oni nie starają się odbijać z jakiegokolwiek trampoliny co wysoko wznosi. Jeśli już próbują sięgnąć nieba, to korzystają z drabiny, która twardo na ziemi stoi. Są właścicielami zadziwiającej siły przebiecia, która pecha ich uparcie do przodu i wpłtuje w sytuację bohatera „Palca bożego”, który aeropagowi sędziów po kilkakroć udawać musiał zdolności i talent. Filmy ich jak burza przelatują przez ekrany, a jeśli już gdzieś przez przypadek dłużej zabawią, przed kinem nie ustawiają się długie na kilometr kolejki amatorów 2-godzinnych złudzeń. Czy to oznacza porażkę?

Jak powszechnie wiadomo, że szkoły zresztą, sztuka nigdy nie była rentowna i zawsze domagała się mecenasa. By ją wspierał hojnie. Walka klas swoją drogą, ale czy ktokolwiek, kiedyś zliczył ile zawdzięczamy kaprysom dobrego smaku bogatych mieszczan i patrycjuszów Rzymu i Florencji?

Prawda, „Struktura kryształ” i „Iluminacja” sprawiają wrażenie, iż adresowane są do niezbyt szerokiej widowni. Milcząca większość nie bierze do siebie rozterek jagogłowych intelektualistów podejmujących trudne wybory, nie znajdują one większego posłuchu. Jednak obecność tych utworów w naszym życiu podejmuje z kolei ryzyko czekania na tę resztę, jest wyrazem dążenia do jednolitego awansu i wyrównywania w górę. O sobiście tak sobie wyobrażam wychowawczą funkcję i powinność filmu.

Filmy wymienionej tu trójki obywateli są bez wspólnie obwieszczonego manifestu. Jeżeli istnieje między nimi wspólnota, to nie ma

charakteru apriorycznego założenia — po prostu wpisana jest w ich dzieła. Wynika z analogii myślenia, z podobieństwa odczuwania spraw tego świata, a nie ze spiskowej zмовы. Rzeczywistość, jaką przedstawiają utwierdza wiarę, że człowiek może ją wprawić w drgania, dynamizować pragnieniem przekroczenia horyzontu wyznaczonego np. urodzeniem, jak

w filmie „Na wylot” Królikiewicza. To są wartości wykluwane na swój własny rachunek, bez pomocy sufletów. Tylko one zapewnić mogą nowy przewrót umysłowy bez naruszenia ustroju.

JAN REK



Fot. Włodzimierz Parys

Miniony rok przerwał złą passę polskiego kina. Był rokiem kontury artystycznej i komercyjnej. Film polski pojawił się nie tylko na prestiżowych festiwalach, ale zebrał również kilka pierwszorzędných nagród. Nie tylko ożywił środowisko krytyczne, ale nawiązał także dawno utracony kontakt z rodzimą publicznością. Czyżby zapowiedź siedmiu lat tłustych? Kiedy jednak dokładniej zastanowić się nad przyczynami nieoczekiwanego sukcesu euforia nieco przygasa. Jest on bowiem raczej dziełem przypadku, aniżeli manifestacją rozwojowej prawidłowości. Trudno znaleźć wspólną płaszczyznę odniesienia dla dzieł tak odmiennych jak „Wesele” i „Na wylot”, „Sanatorium pod Klepsydrą” i „Iluminacja” czy „Hubal” i „W pustyni i w puszczy”. Określiły je różne inspiracje ideowe, tematyczne i estetyczne, które nie zakładają jednolitych fundamentów pod nową formację polskiego kina. W obecności młodych da się wysledzić pewien sojusz ideologiczny, ale przecież jest ich zbyt mało, aby mówić o jego trwałości w kategoriach pokoleniowej więzy. Umilkł Żebrowski, nic nie słyhać o planach Krauzego.

CZEGO NIE MA?

O sprawnym funkcjonowaniu kinematografii nie może decydować przypadek. Istnienie produkcyjnego systemu i stałe oczekiwanie publiczności składają się na kulturowy przymus, który realizuje się bez względu na kaprysy talentu. Stąd powszedni dzień polskiego filmu zależy od poziomu spektaklu popularnego, który nie jest indywidualnym artefaktem, lecz seryjnym produktem.

Prawa rządzące filmowym utworem o aspiracjach artystycznych różnią się od reguł tworzenia filmowej konfekcji. W kreacji artystycznej reżyser dyktuje widzowi konwencję porozumienia, w której wartości jest myślowa głębia artystycznego poznania i emocjonalna szlachetność przeżycia świata ujawnionego przez filmowego artystę, także stopień estetycznej komplikacji lub prostoty danego dzieła. Tutaj widz dostosowuje się do autorskiej wizji i w niej odnajduje duchową satysfakcję. Jednakże ten idealny odbiorca na fantasmagoryjnego „Sanatorium pod Klepsydrą” jest reprezentantem interesów kulturalnych nader wąskiej grupy społecznej, która nie decyduje o pomyślnym funkcjonowaniu kinematografii. Decyduje o nim widz, który przychodzi do kina w celach ludzycznych, rekreacyjnych. Można jednak odpowiedzieć, że amator filmów Zanussiego lub Królikiewicza właśnie w przeżywaniu umysłowej przygody spełnia swoją potrzebę relaksu gardząc tradycyjną rozrywką. Wydaje się bowiem, że jakkolwiek różnicowane są sposoby — od najbardziej prostactkich do najbardziej wyrafinowanych — uczestnictwa w kulturze w ogóle, ich wspólnym celem jest szeroko pojęte zaspokajanie potrzeb duchowych, a te rozwijają się poza życiowymi koniecznościami, które materializują się przede wszystkim w pracy.

W obliczu generalnego celu następuje jedynie gradacja oczekiwań, wśród których te najmniej wyszukane są zarazem najbardziej powszechne. Kinematografia musi je respektować, albowiem film żyje duchem czasu i trudno założyć sytuację (znaną innym sztukom), w której wybitne, a nierozumiałe arcydzieło czeka na odpowiednią dojrzałość masowego gustu. Stąd natychmiastowa i żarłoczna presja tego gustu, która ustala drugi typ

kina, obliczonego na szeroką popularność, tzw. kina B. O jego stabilności tematycznej i formalnej decyduje powolna ewolucja upodobań publiczności do której się odwołuje. Łatwo wyliczyć repertuar wątków i motywów, które zapewniają pożądaną wspólnotę przeżycia. Apelują one do pierwotnych instynktów ludzkiej osobowości, takich jak potrzeba wyzwalającego śmiechu, pragnienie dramatyzmu czy tęsknota do miłości. Te podstawowe dążenia ludzkiej natury skrytykowały się w odpowiednich formach gatunkowych, dziedziczonych zresztą po takich popularnych gatunkach teatralnych i literackich jak komedia, powieść kryminalna, western i melodramat.

Model kinematografii popularnej został najpełniej zdefiniowany przez Hollywood. Obok ciężenia tradycji literacko-teatralnej duży wpływ wywierało samo życie. Decydujące znaczenie dla powodzenia westernu miał przecież jego sens mitologiczny w sferze społecznej świadomości, czerpiący z historycznej gleby mitologicznego przedłużenia amerykańskiego stylu życia był — w pewnym sensie — melodramat. Także film sensacyjno-kryminalny znajdował trwałe zakorzenienie w konfliktach życia społecznego. Dla artystycznego skodyfikowania tych impulsów tematycznych wiele istotnych było ogromny rozmach produkcyjny, który pozwolił wypracować najsukcesowniejsze w odbiorze konwencje fabularne, inscenizacyjne i narracyjne. Ich doskonałość wychodziło również od określonych rozwiązań literackich, teatralnych i estradowych. Potężna sugestia hipnotyczna czerpała dodatkowo amerykańskie kino popularne ze swoistego kultu gwiazdorstwa. Postać gwiazdy stanowiła magiczne medium ogromnie wzmacniające ekspresję stereotypowego świata ekranu. Tak opisany model hollywoodzkiej twórczości artystycznej normy i ideały, które zapewniały finansowy sukces, promieniował na inne kinematografie komercyjne. W jego kręgu prosperowała również przedwojenna kinematografia polska.

Ta dygresja amerykańska niech będzie punktem odniesienia w ocenie propozycji polskiego kina B. Aby jed-

nak uniknąć zbędnych mistyfikacji trzeba od razu zauważyć, że takiego kina u nas nie ma, gdyż nasze filmy popularne nie sięgają tego pułapu alfabetycznego, lecz sytuują się raczej w okolicach C, a najczęściej D. Bowiem rysem charakterystycznym rodzimej kinematografii jest olbrzymia przepaść pomiędzy filmem wysokoartystycznym a filmem zamierzonym jako popularny. Jego defekty są tym bardziej kompromitujące, że widoczne w całej niedzy w konfrontacji z obcym repertuarem naszych kin. „Przygoda z piosenką”, „Na krwawdzi” lub „Anatomia miłości” nie mają szans w konkurencji z „Kabaretem”, „Francuskim łącznikiem” czy „Love story”. Zanim zamykamy o przyczynę ciągłej indolencji popularnej wersji polskiego filmu wymienimy jej objawy. Tak się składa, że stanowią one proste zaprzeczenie gatunkowych powinności. Specyfika polskiej komedii filmowej polega na tym, że jest to komedia nieśmieszna. Jeśli zaś trafi się polski film kryminalny to jest on pozbawiony napięcia i chaotyczny w kompozycji wątków, a jeśli film o miłości to wyprany z najbliższej sugestii emocjonalnej i obyczajowej prawdy. Wszystkie zaś rażą elementarnym brakiem poczucia rzeczywistości, rozmiągają się z życiowym prawdopodobieństwem. Nasza kinematografia popularna do dzisiejszego dnia pozostała poza zasięgiem tej ewolucji stylistycznej, którą wywołała francuska nowa fala. Jej osiągnięcia w zakresie generalnego zbliżenia struktur filmowych do rzeczywistości ożywiły wyeksploatowane schematy ekranowej fikcji. Wtargnięcie autentyzmu w sposobie prezentacji filmowego świata wkrótce przeniknęło do kina B i stopniowo zmieniło estetyczne przyzwyczajenia widzów. Prowincjonalność naszego kina rozrywkowego polega na całkowitej obojętności wobec tych przemian, bądź też na niezdar-

nej imitacji nowych założeń artystycznych.

Jednakże głębsze źródła klęski nie leżą w obrębie wewnątrzfilmowych odniesień. Tradycja polskiego myślenia o sztuce, o jej funkcjach społecznych i powinnościach nie sprzyja bujnej rozwojowi czysto konsumpcyjnych gatunków kina. Zadawniona pogarda i lekceważenie dla twórczości rezygnującej z ambicji światonogadownych na rzecz rozrywkowego schlebienia szerokiemu odbiorcy tworzy nieprzychylną atmosferę dla rozwoju poczyniń w tym zakresie. Stąd brak też atrakcyjnych wzorów postępowania w tradycji literacko-teatralnej. Jedyny nieomal przykład historycznej powieści przygodowej H Sienkiewicza został już dość mechanicznie zdyskontowany. Niedawno w telewizji oglądaliśmy „Czarne chmury”, kompromitującą próbę bardziej samodzielnej inspiracji tą tradycją.

Nieprzerwany kryzys polskiej komedii filmowej w społeczeństwie, które żywi wysokie mniemanie o swoim wysublimowanym poczuciu humoru jest tylko pozornym paradoksem. Bowiem humor ten ma charakter słowny i rozwijał się głównie w literackich kabaretach. Ten typ wyostrożenia wrażliwości humorystycznej jest raczej obcy filmowi, który z natury przedkłada komizm sytuacyjny. Tymczasem Marek Piłowski, karykaturalnie portretując w „Rejsie” groteskowy absurd charakterystycznych sytuacji naszego życia społecznego, skazał się tym samobójczym gestem na banieję.

Zawodzą również próby skojarzenia schematu kryminalnego z intencją krytyczną. Zawieszony w społecznej próżni film sensacyjno-kryminalny nie czerpie dramatycznej siły z penetracji rzeczywistych konfliktów. Podjęcie o defetyzm i brak jasno spreżowanych zasad socjalnej pedagogiki oddziaływania filmu, unie-



możliwiają bujny rozwój tego gatunku. Jedyny udany film kryminalny ostatnich lat czyli „Trąd” Andrzeja Trzosa wstydliwie przemknął przez ekrany, ustępując miejsca szeroko reklamowanej dystrybucji amerykańskiego „Incydentu”.

Nie istnieje również obecnie polska wersja melodramatu. I znów pojedyncza próba udanej realizacji filmu o miłości czyli „Trzeba zabić tę miłość” Janusza Morgensterna, filmu po brzozi wypelnionego gestą obserwacją psychologiczną i obyczajową napotyka na bariery dystrybucyjnych ograniczeń.

Te trzy osamotnione przykłady prowadzą w stronę uogólnienia. Chodzi bowiem o zasady polityki kulturalnej, o kryteria wartościowania, które powodują styl naszej kultury masowej. Pełny sukces społeczny wymienionych filmów ujawnia bardziej złożone potrzeby szerokiej publiczności. Dowodzą, że widz nie przychodzi do kina w poszukiwaniu głupiego śmiechu i kiczowatych wzruszeń, lecz w rozrywkowej konwencji poszukuje również artystycznej prawdy o społeczeństwie, w którym żyje. Szermowanie argumentem milionowej widowni na filmach Berej i innych speców od ciągłego odgrzewania filmowej tandety jest chwytem cynicznym. Korzystają oni z tradycyjnego sentymentu dla rodzimej kinematografii i z próżni gatunku, którą pracownicy wypełniają.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



„NAGRODY I ODZNACZENIA”

„NAGRODY I ODZNACZENIA” w reżyserii Jana Łomnickiego są filmem zwracającym uwagę widza na swój pierwowzór — powieść Wacława Billińskiego. W stwierdzeniu tym zawarta jest pewna ocena wartościująca — powstał film, którego niezaprzeczalne walory mają swe źródła głównie w materiale literackim. Powieść Billińskiego w swej strukturze, formacji kompozycyjnej i typie dialogu była w rękach reżysera niemal gotowym scenariuszem. Zawarty w powieści opis sytuacji dramatycznych i rysunek postaci czekał jedynie na obrazową konkretyzację, od jej sposobu zależało czy filmowe „Nagrody i odznaczenia” uzyskają wymiar filmowego „Popiołu i diamentu”, dzieła znaczeń uogólniających, sens dramatów jednostkowych w całokształcie procesu społecznej rewolucji pierwszych powojennych lat.

Tak się nie stało, choć był w pierwowzorze literackim materiał na taki właśnie film. Zdecydowała o tym zapewne osobowość reżysera, czującego realizm opisu i dość bezradnego przy próbach syntezy i budowaniu znaczeń uniwersalizujących. Jan Łomnicki jeszcze raz potwierdził swą klasę jako

reżyser wywodzący się z tradycji kina dokumentalnego, lecz wystarczy chwila zadumy nad samym tytułem powieści i filmu, by uświadomić sobie, że metoda dokumentalnego realizmu nie ogarnie podjętego tematu, choć filmowy zapis pozostaje pozornie wierny dramatycznym wątkom powieści. One to właśnie wymagały zarówno psychologicznego pogłębienia ekranowych postaci jak i tego, by bogactwa scen rodzajowych i sensacyjność fabuły nie były wartością samą w sobie, lecz służyły budowie znaczeń z niej wyrastających.

Uwagi te są wyrazem swoistego żalu wobec dobrego filmu, który mógł być jednak znakomity, gdyby przydano mu trochę szerszego oddechu, a realizatorom nie zabrakło odważy przed bardziej wyraziście prezentacją różnych odmian politycznych postaw. Dochodzimy tu do sedna problematyki „Nagród i odznaczeń”, filmu, który za powieścią stanowi próbę uchwycenia obrazu nie tyle zachodzących przemian, co stanu świadomości Polaków roku 1944. U progu przemian stała bowiem konieczność wyboru — „Nagrody i odznaczenia” odwołują się do motywów i determinant, pokazują ludzi w sytuacjach, które nie zawsze były

wynikiem wyborów świadomych, często bieg zdarzeń gwałtownych i dramatycznych decydujących za nich. Ludzie uwikłani w historię, kształtując ją i przez nią kształtowani, decydują później przez ową historię ocenione, a wówczas będące dramatami jednostkowymi składającymi się jednak na dramat narodu — to bohaterowie i temat tego filmu.

Autor powieści, a za nim reżyser, dla zagadnień tych skonstruowali sytuację modelową, ujętą w znakomitym dramatycznym kluczu. W szpitalnym nokoiku leżą z potrząskanymi nogami trzech ludzi, żołnierze tej samej generacji Polaków Wszyscy, ci trzej walczyli o Polskę, lecz tylko jednego zranili zewnętrzny wróg. Drogi do szpitalnego łóżka każdego z młodych bohaterów filmu odśladają kulisy dramatów, w których winą nie zawsze znaczyła wówczas winę, a nienawiść komunizmu wobec prawicowca i odwrotnie znajdowała motywację, w filmie tym, nie z perspektywy historii widziane, lecz ujawnione młoda wówczas aktualnego tragizmu, częściej sytuacji niż wyboru. To skupienie w trzech ludzkich losach węzłowych konfliktów narodowego dramatu pierwszych dni wymagało jednak szerszej perspektywy społeczno-politycznej. W tym momencie film Łomnickiego, w innych wątkach tak odpowiedzialny

i rzetelny wobec historii, traci na swej pełnej wiarygodności. Ludzie prawniczej reakcyjnej podziemności zostali, na tle wszystkich innych postaci, potraktowani jednomyślnie, zarówno pod względem politycznych orientacji jak i czysto ludzkich motywacji, a powieść Billińskiego niósłaby przecież obraz tych problemów znacznie głębszy wobec tego, co zaproponował ekran. Dołączyła się do tego wspomniana wyżej słabość Łomnickiego jako reżysera kreacji psychologicznej. Potwierdza to choćby postać Joanny, która aranżując mord polityczny, w powieści realizuje nie tylko cele ogólne, określone polityczną postawą — nie zmienia to oceny czynu, lecz postaci przydaje psychologicznej prawdy Talent Barbary Wrzesińskiej nadrobiłaby niedostatek reżyserii nie rozgrzesza realizatora filmu który jeszcze raz potwierdza prawdę o uderzającej w polskim kinie nieumiejętności psychologicznej kreacji postaci i prowadzenia wątków miłosnych. Ta pozornie marginalna sprawa w istocie jest niezwykle ważna — wielkie dramaty społeczno-polityczne przeżywają bowiem wówczas, gdy przemawiają poprzez dramaty indywidualne, również psychologiczne — udowodnił to kiedyś w „Popiole i diamentach” Andrzej Wajda.

Jan Łomnicki reżyser z ogromnym doświadczeniem dokumentalisty, zaproponował natomiast niezwykle przejmującą opis tła rozgrywających się zdarzeń i dramatów, zwłaszcza we wszystkich, a więc przeważających sekwencjach szpitala Szpitala, brudny i prowizoryczny, wypelniony beznamiętnym ludzkim cierpieniem, któremu ułżył powołani do tego czę-

sto nie są w stanie, szpital będący również terenem politycznej walki i samookreślenia się ludzi, szpital — miejsce marzeń o miłości, o życiu spokojnym i o dalszej wojnie, miejsce walki ze śmiercią i na śmierć skazujące — ten obraz przełamuje w filmie Łomnickiego ekspresja prawdy ogólnej i szczegółu. Tam, w wymiarze ścian szpitala, bohaterowie filmu są prawdziwie autentyczni i ci główni, unieruchomieni w łóżkach, i ci epizodyczni, bez których dramat tamtych trzech byłby niepełny.

Prawdą niezaprzeczalną jest, że filmowe „Nagrody i odznaczenia” ogarniają główne konflikty społeczne i polityczne pierwszych chwil wolności, przynoszą pełne autentyzmu i sytuacyjne i obyczajowe oraz sam klimat czasów. Prawdą jednak jest również to, że nie we wszystkich politycznych wątkach film ich obraz rysuje w pełni, że obok wyraziście zaprezentowanych postaci inne (Joanna, Jarek i jego dowódca) proszą o uzupełnienie, że głównym motorem zdarzeń fabularnych i właśnie charakterystyki postaci jest słowo — znakomite dialogi Wacława Billińskiego, który mimo wielu zastrzeżeń reżysera i aktorów pozostaje głównym autorem sukcesu również filmowych „Nagród i odznaczeń”. Jest to bowiem utwór daleki uproszczonym lekcjom historii, którymi kino polskie niejednokrotnie nas obdąrywało, film, który niewątpliwie cechuje temperatura emocjonalna i moralna, film, który jednak zatrzymywaliśmy gdzieś w pół drogi do miejsca, gdzie kiedyś usytuował się „Popiół i diament”.

EWA NURCZYŃSKA

procesem i formować jego rezultaty... Dlaczego mamy odwracać się od prawdziwego piękna, odzyskiwać się od niego, jako od punktu wyjścia dla dalszego rozwoju, tylko na tej podstawie, że ono



Fot. Włodzimierz Parys

Jest „stare”. Dlaczego mamy kłaniać się nowemu nieczemu bogu, przed którym należy się ukorzyć tylko dlatego, że to „nowe”? Bezsens, zupełny bezsens! Jest w tym wiele obłudy i oczywiście bezmyślnej czci dla artystycznej mody panującej na Zachodzie. Jesteśmy dobrymi rewolucjonistami, ale nie wiadomo dlaczego czujemy się w obowiązku udowodnić, że my też stoimy „na wysokości współczesnej kultury”. Ja natomiast

Wysłuchawszy tych słów, Klara Zetkin przyznała, że nie zachwyca się kubizmem. Lenin uśmiechając się powiedział:

„Tak, droga Klara, nie ma rady, starzejemy się oboje. Wystarczy nam, że jesteśmy i zostaniemy młodymi przynajmniej w rewolucji, że znajdujemy się w jej pierwszych szeregach. Za nową sztuką nie nadążymy, będziemy kuszyli w tyle. Ale — kontynuował Lenin — ważne są nie nasze sady o sztuce. Waż-

ne jest fakcie to, co daje sztuka wielu setkom, nawet wielu tysiącom ogólnej liczy ludności, liczącej miliony. Sztuka należy do ludu. Ona winna wraść najgłębszymi korzeniami w głębie szerokich mas pracujących. Powinna być zrozumiała dla tych mas i lubiana przez nie. Sztuka winna scalać uczucia, myśli i wole tych mas, podnosić ich. Ona powinna wyzwać i rozwijać w nich twórców... Aby sztuka mogła przybliżyć się do ludu a lud do sztuki, musimy najpierw podnieść ogólny poziom oświaty i kultury”.

W dalszym ciągu rozmowy Lenin, ustosunkowując się do zrobionej przez jednego z rozmówców uwagi o znaczeniu widowisk dla szerokich mas, powiedział:

chleba jest rozwiązany. Na tym gruncie powinna wyrosnąć rzeczywistość nowa wielka komunistyczna sztuka, która znajdzie formę najbardziej odpowiednią do swojej treści”.

W trudnych warunkach umacniania władzy radzieckiej i walki z kontrrewolucją Lenin szczególnie naciskał na propagandową funkcję sztuki w ogóle, zaś filmu w szczególności. Sam zresztą oglądał wiele filmów za granicą i w Rosji.

„W ostatnich miesiącach jego życia w domu był zainstalowany kinematograf domowy i seanse odbywały się nieomal każdego dnia. Spośród ostatnich filmów wyświetlonych Włodzimierzowi Iljczowi ze szczególną przyjemnością oglądał on

mi ideami — tak, aby zwracały uwagę społeczeństwa na to co dobre, postępowe, twórcze jak też na to, co należy piętnować u nas w życiu obcych klas i innych krajów”.

Często powtarzamy słowa Włodzimierza Iljicza o tym, że film jest najważniejszą ze sztuk dla współczesności. Sformułowanie to A. Lunaczarski zinterpretował następująco:

„Lenin sztuce w ogóle przypisywał ogromne znaczenie. Cenił w niej przede wszystkim jej kolosalną propagandowo-wychowawczą siłę oddziaływania. Bowiem „Sztuka, obrazy, zajmujący temat, wzruszające zestawienia dźwięków, linii,

LENIN i SZTUKA

fabularny film „Cudotwórca” — wspomina siostra Lenina M. I. Ulianowa.

W częstych rozmowach z A. Lunaczarskim — komisarzem oświaty w Rosji Radzieckiej i teoretykiem sztuki, określił Lenin następująco zadania kinematografu radzieckiego.

„Należy dążyć przede wszystkim do osiągnięcia trzech celów. Pierwszy — to szeroko oddziałująca kronika, zestawiana w odpowiedni sposób, która byłaby publicystyką obrazową, w duchu linii utrzymywanej przez nasze najlepsze radzieckie gazety. Film — zdaniem Włodzimierza Iljicza — powinien oprócz tego przybrać charakter swoistych publicznych obrazowych odczytów na temat wielu problemów nauki i techniki. Wreszcie — nie mniej, a bodaj jako bardziej ważną, traktował Włodzimierz Iljicz propagandę naszych idei w formie zajmujących filmów, pokazujących wycinki prawdziwego życia i przenikniętych naszymi

barw — wszystko to przenika nawet do takiej świadomości, która jeszcze nie jest przygotowana do rozumowania mniej lub bardziej naukowo — plastycznego”.

Obok funkcji kształtującej i propagandowej dostrzegł Lenin w sztuce źródła doznań estetycznych i rozrywki, jako instrument pogłębiania i rozwoju osobowości, a poprzez to podnoszenia poziomu kultury i nauki, budowy lepszej przyszłości.

„Niezbędne jest wprowadzenie do filmu — zanotował słowa Lenina W. Boncz-Brujewicz — i humoru, i śmiechu, pulsujących scen tragedii i komedii, ale wszystko to powinno prowadzić do jednego i jednego celu: do walki o nowy byt, o nowe obyczaje, do lepszej przyszłości, do rozkwitu nauki i sztuki”.

JADWIGA
LUŻYŃSKA-DOROBOWA

TOMASZ KIESEWETTER

CZĘKA NAS NIEUSTAJĄCA PRACA

Upłynęło parę lat od czasu, kiedy pisałem w „Odgłosach” o „sprawach muzycznych w Łodzi. Zastanawiam się wtedy nad tym, co nam udało się osiągnąć, a do czego dotrzeć nie zdołaliśmy.

A więc Teatr Wielki — przedstawienia operowe zachwycają nas w dalszym ciągu i znajdują się niemal zawsze na bardzo wysokim poziomie. Opera nie boi się konfrontacji z innymi zespołami, które goszczą w jej murach, goszczą też u niej inscenizatorzy z NRD, Czechosłowacji i Grecji. W „Spotkaniach baletowych” widzieliśmy tancerzy z różnych krajów. Ostatnio gościliśmy u siebie zespół Teatru Heskiego z Wjesbadenu z NRE.

Pierwsze lata istnienia Teatru Wielkiego prócz fascynacji śpiewem, muzyką i tańcem, były również dla wielu łodzian fascynacją nowym tak skromnie, ale i tak estetycznie urządzonym gmachem. Ale ten zachwyt powoli mija, następuje przyzwyczajenie — stąd konieczność podwojenia starań aby słuchacza, pożywanego nowością gmachu, utrzymać dalej już przy pomocy fascynacji śpiewem, muzyką i tańcem.

Filharmonia — sprężyste kierowana przez Henryka Czyżę i Zdzisława Szostaka — ma otrzymać nowy, piękny gmach. Gmach ten — mam nadzieję — jak kiedyś Teatr Wielki, stanie się nowym evenementem i przyciągnie swoją nowością dalsze tłumy wielbicieli muzyki symfonicznej i kameralnej. Ale zanim to nastąpi... Nie zapominajmy przecież, że Teatr Wielki budowano kilkanaście lat.

Filharmonia dorobiła się po pewnych perturbacjach bardzo dobrego, acz jeszcze niezbyt liczego chóru, przeto mamy możliwość słuchania interesujących wykonawców utworów oratoriów. A przy tego typu wykonaniach nader często potrzebne bywają organy, jak np. w „Missa Solemnis” Beethovena, czy też w Mszy h-moll Bacha. Wykonania te albo odbywały się bez organów (Missa Solemnis), albo też z wypożyczanymi organami elektronicznymi Philipsa z Opery, albo Hamonda z Radia. Zarówno pierwsze (nieco lepsze), jak i drugie (znacznie gorsze), przystosowane są raczej do stosowania w muzyce rozrywkowej i posiadają typowe „elektronowe” brzmienie. I tu zachodzi pytanie — czy nasza Filharmonia, której w obecnej sytuacji absolutnie nie opłaca się instalowanie prawdziwych orga-

nów piszczałkowych (w dodatku — gdzie je postawić?), nie powinna się postarać dla siebie o jakieś lepsze organy elektroniczne, brzmieniem bardziej zbliżone do tradycyjnych organów? Orientujemy się tu znakomicie, że byłaby to namiastka, ale jakoś bardziej zbliżona do oryginału, do przyjęcia w grze orkiestrowej, a przy tym układem klawiatur zbliżona do normalnych rganów, co umożliwiłoby obsłużenie ich przez organistów z prawdziwego zdarzenia.

Teatr Muzyczny posiada już dobowane zaplecze, dające możliwe warunki pracy dla zespołu i prowadzenie (w niezbyt dużym wymiarze) przemiennej repertuaru. Ale moim zdaniem należałoby się zastanowić nad możliwością przebudowy płytkiej sceny i ciasnego kanału orkiestrowego.

Teatr Muzyczny ma też duże kłopoty z zespołem baletowym, któremu nie jest w stanie płacić odpowiednich stawek. Stąd ciągłe zmiany w zespole, rekrutującym się nie zawsze z tancerzy zawodowych a raczej z członków amatorskich zespołów piosenki i tańca. Zdolniejsi i podkreszczeni tancerze uciekają do Opery, gdzie stawki są większe, a Teatr Muzyczny ma znowu pustki w zespole.

W szkolnictwie muzycznym trzeba odnotować duży sukces. Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna, gnieżdżąca się przez przeszło 20 lat w okropnej czynszówce na Jaracza 19, otrzymała wreszcie nowy gmach przy ul. Sosnowej 9. Mimo że gmach ten nie jest jeszcze całkowicie wykończony, szkoła przenosi się już z brudnej czynszówki do nowego budynku, dobrze przystosowanego do potrzeb tego typu szkoły.

PWSM ma w dalszym ciągu kłopoty z brakiem odpowiednio dużej sali koncertowej. Ciągłe się o tym mówiło, ale pawilonu na terenie szkoły nie zbudowano. Jeżeli były pieniądze, to nie było zgody na lokalizację, a jeżeli teraz jest zgoda na lokalizację, to znowu nie ma pieniędzy. Każda szkoła muzyczna musi dysponować taką salą ze względu na pracę z chórem, orkiestrą i solistami, którzy mu-

szą przyzwyczajają się do pokonywania przestrzeni sal koncertowych.

PWSM ma zdolnych i dobrze przygotowanych studentów, którzy w ramach szkolenia mogą prowadzić bezpłatnie szereg koncertów, mogących mieć wielkie znaczenie dla umuzykalnienia Łodzi. Już parę tego typu akcji zyskało sobie duże powodzenie, w dodatku, że na koncertach tych prócz studentów występują też i pedagodzy PWSM. Są to wieczory muzyczne w poniedziałki i organizowane wspólnie z Łódzkim Towarzystwem Muzycznym środowowe koncerty organowe, na których spory tłum wypełnia szczerze salę „rokokową” oraz okoliczny hall i korytarze.

PWSM boryka się też z innymi trudnościami. Brakuje pomieszczeń do ćwiczeń indywidualnych. Może po wykwaterowaniu szkoły muzycznej II stopnia sytuacja ulegnie zmianie. Ale studenci winni mieć możliwość ćwiczenia również w internatach, a to w obecnych warunkach jest absolutnie niemożliwe.



Fot. Archiwum

W życiu muzycznym Łodzi odczuwa się brak ludzi, co stwarza wielkie trudności w zorganizowaniu muzycznego środowiska. Np. w dalszym ciągu w Łódzkim Kole Związku Kompozytorów Polskich znajduje się tylko dziesięciu członków (dla porównania — w Kole Warszawskim 148). PWSM ograniczona jest w szkoleniu limitami, narzuconymi przez ministerstwo. Wyszkołenie tedy odpowiedniej kadry jest nader trudne. Budzi więc poważny niepokój odpływ dwudziestu kilku muzyków i to często najlepszych na placówki zagraniczne. Jest to strata trudna do odrobienia. W niektórych zespołach sięga się już po absolwentów szkół średnich. Zastanawia też trzeba odpływ najlepszych solistów opery i baletu. Oczywiście nikomu nie należy tamować drogi do kariery, ale czy by tej sprawy nie można było tak zorganizować, aby nasi znakomici soliści nie zry-

wali całkowitego kontaktu z macierzystym teatrem?

Ponieważ PWSM, skrepowana ograniczeniami i limitami, nie może dostarczyć odpowiedniej liczby i odpowiednio uzdolnionych fachowców, przeto sprowadza się ich z zewnątrz, z innych miast m.in. z Warszawy. I tu zachodzi zjawisko, z którym trzeba się pogodzić, ale które ma swoje niedobre strony. Mianowicie istnieje pewna liczba specjalistów, którzy mieszczą stale w Warszawie, a do Łodzi tylko dojeżdżają, aby wykonywać tu (bardzo zresztą sumiennie) swoje obowiązki, ale z samymi miastem nie mają niemal żadnej łączności, czasem nawet odnosi się wrażenie, jakby zaznaczyli tu swoją odrębność. Oczywiście, że będziemy musieli sprowadzać i uzupełniać nasze kadry dopływem z innych miast. Ale tu trzeba



KRYZYS ENERGETYCZNY

Świat wkroczył w epokę kryzysu energetycznego, a ściślej w okres oszczędności paliw. Rozsądne gospodarowanie surowcami jest tendencją godną najwyższej pochwały, ale owa oszczędność inaczej wygląda z administracyjnego biurka, a inaczej z fotela kierowcy.

Jestem kierowcą od dwudziestu lat, trafiłem do tego zawodu, gdy nie powiodło mi się na studiach i tak już zostało. Przywykłem, od dwóch lat prowadzę Fiat 1500, dostałem do użytkowania egzemplarz niezwykle udany i z wozem nie mam większych kłopotów. Ale krąży mi się serce, gdy widzę, że mój służbowy Fiat jest poważnie zagrożony. Wiadomo powszechnie, że optymalne warunki eksploatacji wozu następują wtedy, gdy jego użytkowa szybkość równa jest mniej więcej trzem czwartym maksymalnej szybkości. Szywnie jej ograniczenie w Polsce do 80 km na godzinę nie odpowiada jakości wozów, które kursują po naszych drogach, w związku z czym lepsze wozy, jak np. Fiaty, mają poważne zalety. Każdy kierowca wie, że Fiat 1500 zużywa najmniej paliwa przy szybkości 100 km na godzinę. Czy więc sztywne wyznaczenie limitu prędkości nie jest swolnym marnotrawstwem?

Druga sprawa to wyznaczenie specjalnych stacji benzynowych do tankowania paliwa przez wozy służbowe. Jest ich w Łodzi niewiele i korzystać z nich mogą także właściciele wozów prywatnych, toteż przed stacjami tworzą się taslemcove koleje. Sprzyja to także marnotrawstwu, tym razem czasu, choć często także paliwa. Wiadomo doskonale, że stacje benzynowe nie zawsze dysponują pełnym asortymentem olejów. Stacje benzynowe dla wozów państwowych są porożrzucane po całym mieście. Jeśli nie ma oleju w jednej, nie można jechać po oleje do najbliższej, trzeba zazwyczaj jechać do kolejnej wyznaczonej bardzo daleko. W ten sposób na bezmyślne przejazdy po mieście traci się ogromne ilości paliwa.

Podobne obserwacje jak ja mają także inni kierowcy wozów państwowych. Rozumiemy konieczność oszczędzania, ale czy w tych warunkach można mówić o rzeczywistych oszczędnościach. Myślę, że redakcja „Odgłosów” mogłaby bliżej zainteresować się tym problemem. Wdzięczność kierowców, zapewniona.

J.B.
(Pełne nazwisko i adres
znane redakcji)

„MEDEA” CZYLI OBOJĘTNOŚĆ

„Medea” w Teatrze Nowym nie przyciąga tłumów. Czy tylko dlatego, że klasyczna grecka tragedia nie objawia na naszych scenach kształtów idealnych? Że inscenizatorzy łamią głowy nad tekstami tłumaczeń, które nie zdradzają cienia piękności starożytnej poezji i które najczęściej starając się wiernie oddać treść tragedii, posługują się językiem, jakim nigdy nikt nie mówił? Głośno czytanie większości przekładów starożytnej tragedii obnaża ich wyszukaną sztuczność. Filologiczna wierność rzadko idzie w nich w parze z dbałością o urodę stylu i melodię wiersza. Nie więc dziwnego, że na lekcjach polskiego wieje nudą i tak trudno przekonać młodzież poznającą „Antygodę” w tłumaczeniu Brożka czy Morstina o potęgę poezji Sofoklesa. A już mówienie o wznio-

działanie Antygony jako „czyn zbożny”.

Teatr Nowy gra starożytną grecką „Medeę” w adaptacji Stanisława Dygata, Adaptacji, którą na afiszu i w programie nazywa się transkrypcją. Termin ten wprowadza w błąd. Dlaczego utwór tak daleki w formie od tragedii Eurypidesa, utwór, w którym chór zastępuje nowa postać nieobecna u starożytnego tragika (Niespokojna dziewczyna), przypisuje się jednak Eurypidesowi? Czy nie byłoby najuczciwiej (zwłaszcza wobec tego widza, który nie zna Eurypidesa) nazwać tę tragedię „Medeą” Dygata według Eurypidesa albo „Medeą” Eurypidesa w adaptacji Dygata? Kiedy Sartre ogłosił współczesną wersję „Trojanek” wybrał tę drugą drogę. Zachował imię Eurypidesa przy tytule, a swoją pracę nazwał adaptacją. Podobnie zresztą postąpił ostatnio sam Dygat mieniąc się, i słusznie, autorem „Alcesty” „według Eurypide-

wie, w reżyserii (i z główną rolą) Lidii Zamkow. W drugiej inscenizacji posłużyło się przekładem Stanisława Milera. Pozostałe przedstawienia „Medei” — warszawskie i rzeszowskie w roku 1962 oraz ostatnie w Białymstoku (przed rokiem) i obecne w Łodzi — to adaptacje. Wydaje się, że trzeba to widzom dobitnie uświadomić. Ważne to i dlatego, iż większość spektakli greckiego dramatu przeznacza się na tzw. abonamenty szkolne.

Nie oznacza to jeszcze, że wybrzydzam na „Medeę” Dygata. Tekst pływający ze sceny Teatru Nowego jest o wiele gładziej i znacznie lepiej brzmi od wszystkich polskich przekładów Eurypidesa. Nie jest to jednak tragedia Eurypidesa i widz powinien o tym wiedzieć. „Medea” Dygata ma ładne kadencje, ale ma też swoje mizlizny. Tekst napisany współczesną prozą nie jest wolny od fragmentów brzmiących nabytym potocznie, a w innych momentach razi publicystycznym frazesem. Kiedy na przykład Medea słowa „Śmierci przybądź do mnie!” komentuje tak oto: „Niech rezygnacja z istnienia stanie się najlepszym jego rozwiązaniem” nagle cały jej lament staje się po prostu pretensjonalny. Sprzeciw budzi również zastosowanie w tragedii sformułowań zapożyczonych z rachunku ekonomicznego, np. w kwestii Jazona do Medei: „Ale czy z racji mojego ocalenia nie otrzymałaś więcej niż zainwestowałaś?” Nie bardzo także rozumiem, dlaczego Dygat tak łatwą ręką zalicza kobiety do rzeczy (choć „obdarzonych życiem!”) i jednocześnie każe owym rzeczom kupować mężów ciskając im pieniądze do stóp. (Z monologu Medei: „Pośród wszystkich rzeczy obdarzonych życiem i zdolnością myślenia, my kobiety jesteśmy rzeczą najbardziej pożalowania godną. Przede wszystkim, aby zyskać męża musimy cisnąć mu złoto. A tym, co zdobywamy więcej jak tyran dla naszego ciała?”)

Dosadność spłyca „Medeę”, pospolitość ją odbiera jej niezwykłość. Myślę, że błędne są interpretacje zmierzające do uczynienia z niej kobiety przeciętnej, kobiety będącej jedną z wielu czy też — jak to czytamy w programie — „kobietą zwaną Medeą”. Nie zgadzam się na „kobietę zwaną Medeą”, jak ją przedstawia w swoim artykule reżyser spektaklu, Jerzy Hoffmann. Zarówno w programie („konsekwentna w obsesyjnym do patologii doprowadzonym przygotowaniu aktu zemsty”) jak w tym, co się dzieje na scenie, kryje się jakiś fałsz. Jeżeli chcemy za wszelką cenę sprowadzić

Medeę na ziemię lub choćby dać widowni do zrozumienia, że historię Medei można odnaleźć także w codzienności, niszczyliśmy istotną cechę tej tragedii: poczucie, że nie daje się ona wytłumaczyć do końca i ogarnąć wyobraźnią, że sama Medea i jej miłość (czy namiętność) to zjawisko niepospolite, którego nie można zmierzyć obiegową miarą. Przymierzanie Medei do codzienności, do jakiegos tam ogólnoludzkiego wymiaru uczuć i czynów jest krzywdzące nie tylko dla Medei (bo zrównuje mity z kryminalną opowieścią), ale i dla nas, bo nas pozbawia czegoś, co się po starożytności nazywa wzniosłością.

W spektaklu „Medei” zabrakło poezji. W programie co krok znajdujemy przypomnienie, iż Eurypides „odherizował mity” oraz „zdarł kostiumy z bohaterów dawnych legend”. Nie upoważnia to jednak do szukania w tym autorze pospolitości. Zarówno spektakl jak i treść programu (o czym piszę nie bez zażenowania) dowodzi, iż realizatorzy zapomnieli o tym, co ważne w każdej sztuce. Istotna jest nie tyle treść, ile sposób w jaki się ją opowiada. Eurypides ukształtował mity o Medei wedle kanonu sztuki tragicznej swoich czasów, uformował go w ścisłych rygorach poezji. „Transkrypcja” Dygata nie dyktuje żadnych rygorów. Dlatego krzywdzące byłoby ocenianie wysiłków wszystkich twórców, którzy złożyli swoją pracę dla ostatecznego efektu — przedstawienia „Medei” w Teatrze Nowym. Przypomina ono bowiem wprawianie w ruch atomów leżących przy zachowaniu pozorów, jak by one ważyły więcej. Posłużyłam się tu metaforą zaczerpniętą z wypowiedzi Levi-Straussa o języku poezji. Brzmi ona następująco: „Poeta zachowuje się wobec języka jak inżynier, który usiłowałby utworzyć atomy cięższe, wychodząc od atomów lżejszych. Przedmioty lingwistyczne, które fabrykuje poeta, są cięższe niż przedmioty prozy. Dorzuca on do ekspresji lingwistycznej nowe wymiary i w poezji tradycyjnej wyrażenie widac ukazywanie się owych dodatkowych wymagań w rymie, rytmie i innych prawach prozodii” (G. Charbonnier „Rozmowy z Claude Levi-Straussem”).

Ciężar atomów wytwarzanych na scenie Teatru Nowego w Łodzi zmniejsza się niepokojąco przebywając drogę do widza. Wychodzimy z teatru ani wstrząśnięci, ani poirytowani. Obojętni.

ANNA
KRAJEWSKA-WIECZOREK

OLIMPIJCZYCY



JAN BOCHENEK

Obecny trener ciężarów WKS „Orzeł-Łódź” był przez wiele lat zawodnikiem Legii i reprezentantem Polski. Mieszkał w Łodzi. W igrzyskach olimpijskich brał udział dwa razy.

Pierwszy olimpijski start mjr. Jana Bochenka (waga średnia) miał miejsce w 1956 r. w Melbourne. Zajął tam dwunaste miejsce z wynikiem — 382,5 kg. Zwyciężył reprezentant ZSRR F. Bogdanowski — 420 kg.

Jan Bochenek nie zaprzestaje marzeń o zdobyciu medalu w przyszłych igrzyskach olimpijskich. Trenował codziennie, dźwigał ciężary — doskonały wynik — 420 kg. na 24 startujących rywalizacji kwalifikacji się do drużyny olimpijskiej na olimpiadę w Rzymie.

W Wietnamie Między nad Tybrem Jan Bochenek uzyskuje — startując już w wadze półciężkiej — doskonały wynik — 420 kg. na 24 startujących rywalizacji zajmuje trzecie miejsce. Przywozi więc do Łodzi brązowy medal. Radosław J. Bochenka była tym większa, że w wadze tej zwyciężył przyjaciel i rodak Ireneusz Paliński (wynik — 412,5 kg.).



ANDRZEJ BEK

W rodzinie kolarza SKS „Społem” — Andrzeja Beka tradycje kolarskie sięgają kilku pokoleń.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową startował jako zawodowy kolarz jego dziadek Alfons Bek, który zajął m. in. trzecie miejsce w wyścigu zawodowców o tytuł mistrza Europy.

Potem nadeszła era jego syna, Jerzego Beka, znanego pod pseudonimem „Jerzyk”. Jego specjalnością były wyścigi na dystansie 200 m.

Jerzy Bek ma dwóch synów, Andrzeja i Jarosława. Startują na szosie i na torach. Obaj wygrali kolejne popularyjne w Łodzi Małe Wyścigi Pokoju. Startują w barwach „Widzewa”, a następnie przechodzą do „Społem”.

W roku igrzysk monachijskich Andrzej Bek powołany został do kadry olimpijskiej. Jego partnerem miał być J. Kotliński, później trenował z Benedyktem Kocotem z Opola. Para ta uzyskiwała dobre czasy w wyścigach tandemów. PZKO postanowił tandem Polski wysłać do Monachium na przedolimpijski trening, ale czy zostanie zgłoszony do igrzysk nikt kilka tygodni przed rozpoczęciem olimpiady nie mógł odpowiedzieć. Rzecz oczywiście, że z jednej strony brak zdecydowanej opinii PZKO jak i PKOl wpływał na zawodników deprymując. A. Bek i B. Kocot wzięli udział w olimpiadzie.

Pierwsze eliminacyjne starty na przepięknym drewnianym torze w Monachium sprawili, że zaczęło z naszą parą poważnie się liczyć.

Zajęcie przez Andrzeja Beka i Benedykta Kocota trzeciego miejsca było jedną z największych i bardzo miłych niespodzianek. Był to jeden z największych sukcesów kolarstwa polskiego na igrzyskach olimpijskich od czasów Parry i Meksyku.

Rada Państwa uhonorowała go Złotym Krzyżem Zasługi a Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi przyznało mu Honorową Odznakę.

LEKTOR

ANTAGONIZM HISTORYKÓW

Historycy literatury naszej — by wspomnieć tylko Manfreda Kridla — zapisali setki stron rozważaniami o „antagonizmie wieszczów” czyli o tym, jak niezbyt lubili się wzajemnie Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. W cieniu ich sporów kryją się liczne inne, w tym również antagonizm, który dzielił znakomitego pisarza żywo interesującego się historią, próbującego również swego pióra w dziedzinie dziejopisarstwa Juliana Ursyna Niemcewicza i najwybitniejszego naszego historyka doby romantyzmu Joachima Lelewela. J.U. Niemcewicz miał do J. Lelewela pretensje jeszcze z powodu recenzji, zresztą bardzo pochlebnej i umiarkowanej w tonie, jaką uczony napisał z jego „Splewów Historycznych”. Przeciwnie jednak nie tylko ten incydent złożył się na pogłębiającą się z roku na rok niechęć pisarza do historyka.

Mam przed sobą fotokopię niedrukowanej, nieukończony ostatniej powieści J.U. Niemcewicza, pisanej przezeń już na emigracji. Dzieło to rozpoczął on — jak świadczy autorski zapis — dnia 17 września 1839 r. i zdolał opracować niewiele więcej nad dziesięć rozdziałów. Autograf urywa się w połowie rozdziału dziesiątego i brak jakichkolwiek śladów kontynuacji utworu. Powieść nie opatrzona tytułem miała objąć dzieje powstania listopadowego. Już z tego, co znamy — autograf liczy nieco ponad sto stron — można sądzić, że siedziemu pisarzowi nie chodziło jedynie o przedsta-

wienie dramatycznych wydarzeń, ale przede wszystkim o porachunki z tymi wszystkimi, których poglądów i postaw nie podzielał, więc, że miał to być jeszcze jeden ważki głos wśród emigracyjnych „potępieńczych swarów”. Sądy pisarza o jego współczesnych są tu niejednokrotnie bardzo ostre: kto wie, czy to właśnie nie spowodowało zaniechanie przezeń kontynuacji pracy nad powieścią.

Jednym z głównych bohaterów utworu — i to bohaterów zdecydowanie negatywnych — jest J. Lelewel. J.U. Niemcewicz dzielił z nim wówczas niemal wszystko: przede wszystkim postawa ideowo-polityczna, dalej ogólne cechy światopoglądu, zapatrywania na dzieje... Czartoryszczyk z serca widział w J. Lelewelu przede wszystkim niebezpieczeństwo i nieodpowiedzialnego republikańskiego wiehrzyceła w duchu jakobińskim, człowieka, który był ukrytą sprężyną listopadowego powstania i jednym z głównych sprawców jego klęski. Nie oszczędzał przy tym zresztą i innych. Kładł więc w usta M. Mochnackiego jak najostrejsze słowa pod adresem historyka.

„Jest to nadęta próżność purchawka, bez żadnej popychającej do działania odwagi; bez granic jest porozumienie jego, wyższym się on sądzi od wszystkich prawodawców na świecie, nieczem u niego Likurg i Solon, mniema się zesłanym z nieba na Ziemię by całe plemię ludzkie odrodzić i zbawić. Połudny, skromny na pozór umiał on sobie serca młodzieży i latowiernych pozyskać, nade wszystkich

zaś miałem się nieomylnym; lecz w ostatecznym stopniu trwożliwy młodziak, gdy się trzeba było wyraźnie oświadczyć, lub przynajmniej mówić, tak się ciemno i niewyraźnie wystawiał, iż zdanie jego dwójstronnie można było tłumaczyć (...).”

I tak dalej i dalej — negatywna charakterystyka ta powraca na stronach powieści w różnych sformulowaniach, wypowiedziana przez rozmaitych bohaterów utworu J.U. Niemcewicza. Nie inaczej jest również w scenach, w których występuje historyk.

A przecież mimo głębokiej niechęci, jest w spostrzeżeniach J.U. Niemcewicza coś godnego uwagi — coś co świadczy o bystrości obserwacji, a nawet zawiera elementy dowcipu. Przytoczmy jedną ze scen:

„Ze się już dobrze schylało ku wieczorowi Lelewel nie wyszedł z domu, ale podług zwyczaju przywołał synowca i synowicę swoją, by im dawał lekcje języka i historii polskiej. Gdy dzieci przyszły — dzieci moje — rzekł — ale się myli, dzieci brata mego — jużście skończyły naukę piśmowną polskiej podług mego systemu. Strzeżcie się w tym pilnie herezji Staszica i Śniadeckiego, nie wiercie jak mnie, bo ja jestem nieomylny: pamiętacie, gdzie się kładzie s. f. i i male i. i jola. — Pamiętamy — odezwały się dzieci. Lelewel otworzył male pudelko i każdemu dał po karmelku i pogłaskał po puchach.”

Dla zrozumienia tego epizodu trzeba przypomnieć, że J. Lelewel był niezbyt fortunnym wynalazcą nowej piśmowności polskiej, sprzecznym z powszechnie uznaną, co spotykało się z drwiącymi krytykami zarówno S. Staszica, jak J. Śniadeckiego i samego Niemcewicza.

Czytamy jednak dalej tekst: niebawem J.U. Niemcewicz będzie również drwił z lelewelowskiej republikańskiej wykładni dzieł polskich.

„Pójdmy teraz — mówił dalej Lelewel — do historii polskiej. Jakż był od stworzenia świata rząd w Polsce? — Republikański — odezwał się chłopiec — demokratyczny — krzyknęła dziewczynka. — Oboje macie rację — rzekł nauczyciel. — Prozę mnie jednego wszyscy, co napisali historię polską sądzili, że bezcelnie: Kadłubek i Długosz, i Kromer, i Naruszewicz nakoniec pisząc, że

Studenci Uniwersytetu Łódzkiego z lat pięćdziesiątych pamiętają zapewne niewidomego kolegę — Napoleona Mitraszewskiego, autora książki, która niebawem wyjdzie nakładem „Ossolineum”. Przedstawiamy Czytelnikom fragmenty pierwszej części autobiograficznej powieści Mitraszewskiego: „A jednak życie”.

Napoleon Mitraszewski, absolwent UL, mgr filolog, pracuje obecnie jako pedagog w szkole dla dzieci niewidomych we Wrocławiu (już po studiach w UL ukończył z wyróżnieniem Instytut Pedagogiki Specjalnej), a jednocześnie podobnie jak w Łodzi do roku 1957, jest działaczem Związku Niewidomych, organizatorem zespołów artystycznych dla młodzieży, prelegentem w TWP, wykładowcą na kursach początkowego nauczania języka rosyjskiego. Niezwykle pracowity, aktywny społecznie otrzymał m.in. nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za działalność kulturalno-oświatową w środowisku niewidomych.

Obecnie Mitraszewski przygotowuje do druku drugą część powieści autobiograficznej pt.: „Przed zamkniętym szlabanem” i tom opowiadań związanych z trzydziestolecie PRL.

HALINA BATOROWICZ

Kończyło się nasze pierwsze lato w Ł., zbliżał się początek roku szkolnego. Mój ojciec nie był człowiekiem przedsiębiorczym, a trudności życiowe przynosiły mu się z dala. Niewiele razy w życiu zdarzyło mi się widzieć ojca energicznym i zdecydowanym. Za to powierzone sobie zadania wykonywał sumiennie, z największą dokładnością. Dlatego w pracy uchodził za wzór do naśladowania, w domu jednak usposobienie jego sprawowało wiele trudności. Widziałem nieraz później, jak mama bolała nad tym i jak starała się wszystkimi sposobami pobudzić ojca do działania. Na głowę mamy spadały więc sprawy związane z przyjęciem mego rodzeństwa do szkół. Olek i Jadzia musieli zdawać egzaminy do gimnazjum, a Rozalka trzeba było umieścić w szkole powszechnej. Mama więc biegła do lekarzy, wyciągała świadectwa szczeniaka, składała podania, rozmawiała z dyrektorem i t. d. Trudności piętrzyły się. Do tego doszły poszukiwanie po sklepach potrzebnych przedmiotów: książek, zeszytów, przyborów do pisania, wreszcie ubrań. Domem zajmowała się też wtedy prawie wyłącznie Wanda, mamusia przybiegła w południe zdyszana i zmęczona. W tym czasie często wybuchały sprzeczki między rodzicami.

NAPOLÉON MITRASZEWSKI

A JEDNAK ŻYCIE

Najmniej trudności te odczuwałem ja i Rozalka. Jak dawniej biegaliśmy po polach bawiąc się wszystkim, co znaleźliśmy. Czuliśmy się zadowoleni, że nas mniej pilnują i rzadziej wzywają do domu. Niekiedy porzucaliśmy wspólne zabawy, oddając się najmlodszyemu zajęciu: patrzeniu na świat przez czerwone, albo zielone szkiełko. Zapamiętałem wtedy o wszystkim.

Jednego ranka, kiedy jak zwykle wstawaliśmy się w stronę nasycał, pomiędzy naszym domem i boczną koleją zobaczyliśmy żołnierzy. Mieli w rękach małe, saperskie łopatkę i coś nimi kopali. Okopy — powiedział bardziej doświadczony i starszy Bora. Przyglądaliśmy się z daleka. Żółty, czystutki piasek układał się w równe pryzmy i lśnił w słońcu jak złoto. Opodal polyskiwały karabiny ustawione w rzędzie. Usiedliśmy pod płotem, nie spuszczać oka z żołnierzy. Na polu powstały istotnie równe szeregi okopów — jedne naprzeciw drugim. Potem zagrała trąbka, zamigotała w powietrzu białoczerwona chorągiew z orłem. Żołnierze porzucili łopatkę i pobiegli po karabiny. Za chwilę wyciągnęli się dwa równe szeregi wojska. Zawarczał beben, a potem rozległy się wystrzały. Dym przysłonił pole. Rozbrzmiały okrzyki: hurra!!! Nad jedną trąbką, okopów dumnie wzniosła się ta sama chorągiew z orłem. Na koniec żołnierze wyszli z okopów, ustawili się w czwórki i na komendę oficera raznym marszem skierowali się w stronę koszar znajdujących się niebawem daleko. Kiedy pole opuszczało, pobiegliśmy tam co sił w nogach. Jakaż to była uciecha skakać z jednego okopu do drugiego. W pewnej chwili na piasku zobaczyłem coś błyszczącego. Schyliłem się i podniosłem z ziemi. Wydało mi się to wystrojoną kulka karabinowa, choć wyglądało nieco inaczej. Powierzchnia tego jakby pocisku karabinowego polyskiwała czerwona miedzią, a w środku znajdowało się coś żółtego. Seisakaję w ręce swój skarb, poprzez ganek i siankę wpadłem do kuchni.

Tylem do płyty kuchennej siedziałam moja mama i zmywała naczynia, stojące na stole. Najwidoczniej dopiero co wróciła z miasta, bo była jeszcze spoccona, a jej piękne długie ciemnokasztanowe włosy spływały w nieładzie na kark. Przypadłem do niej i wyciągałem rękę z moim skarbem zawołalem: — Mamo, co to takiego? Odwróciła się do mnie i wzięła w rękę nieznany przedmiot. Zabrudzona płaskim rurką robiła wrażenie czegoś starego i nieużywanego. Mama była w tej chwili zbyt zajęta robotą, a myśli jej błądziły wokół spraw, które zajął ją jeszcze przed godziną. Gdyby tyle trosk nie zaprzęta jej umysłu, natychmiast instynktem adretnaby niebezpieczeństwo. A tak, powiedziała tylko: — To coś brudnego. Wyrzuć to i przyjdź, umyję ci rączki.

W stu innych wypadkach byłbym posłuchał, ale teraz, kiedy znalazłem wreszcie taki ciekawy przedmiot, czyż miałem go wyrzucić i to tak od razu? Mama zajęła się znowu zmywaniem naczyń i nie zwracała już na mnie uwagi, sądząc, że wypełniłem jej polecenie. Tymczasem ja, chwilę przyglądałem się żółtej masie wewnątrz rurki, a potem przyszła mi do głowy myśl: czy to będzie się palić? Pod płytą tlił się właśnie ogień. Rozważałem się. Na blacie przed piecem leżał odłupany od polana pałec. Wzięłem go do ręki i koniec wsadziłem do ognia. Kiedy zaczął się płomieniem, wyciągałem go spod płyty i trzymając w dwóch palcach lewej ręki mój skarb, dotknąłem wielkim palcem mojej prawej ręki do środka. W tym momencie chmurą dymu przysłoniła mi trzymany przedmiot i wszystko wokół. Świat zawisł i odpylnął gdzieś daleko.

Kiedyś, nie wiem kiedy, czy zaraz po tym, czy dużo później, zaczęło mi się wydawać, że spowitą mnie ciemność i jest mi bardzo gorąco. Brakło mi tchu. Prosiłem, żeby mi odświeżyli chociaż nos. Doremnie. Wydawało mi się, że niosą mnie tak spowitego na szerokiach nosach, na których zwykle noszona nóż do oradu, a których czasem używaliśmy do zabawy. Coś mnie dusiło. Bronilem się. Potem zaczęły się pojawiać jakieś dziwne stwory z głowami żab, a wokół mnie tańczyły, klaskały w ręce i śmiały się jakś małenki cźwięczek. Właściwie to była prawie tylko

sama głowa na niewielkich nóżkach, stworz z twarzą starą i pomarszczoną, wykrzywioną w dziwnym, jadowitym uśmiechu. Bałem się jej. Wołałem o pomoc, ale nikt nie nadchodził, chociaż zdawało mi się, że słyszę również blisko głos Olka. Potem stopniowo zaczęłam wpadać w nieświadomość. Nawet majaki rozplywały się gdzieś w ogólnej niewiedzy o wszystkim, co się ze mną dzieje.

Nie widziałem prawie nic. Zaledwie z bliska mogłem odróżnić niebieską barwę drzwi prowadzących z kuchni do pokoju. Ogarnął mnie niepokój. Zaczęłam płakać. Tuliłem się do mamy nie mogąc wykrzusić słowa, aż wreszcie wyszeptałem nieśmiało: — Mamu! Ja nie widzę. Matka zamarła na chwilę, a potem złapała mnie na ręce i podniosła do okna. Na próżno pokazywała mi różne przedmioty za szybą. Nie widziałem ich. Trudno opisać scenę, która wtedy nastąpiła.

Ludzkich uczuć nie odda żadne pióro. Rozpacz, która ogarnęła moją matkę, wydzierała jej pewny już łup, wyrzekała się wszystkich dla ratowania dziecka, a kiedy już była pewna zwycięstwa, przegrała. Klęska, która poniosła, była dla niej gorsza od śmierci. Po

mama, podtrzymując moją głowę spowitą bandażami i mówiąc do mnie pieszczotliwie słowa. Nie rozumiałem ich. Byłem na wpół przytomny. Trwało to chyba długo. Kiedy przyszedłem jako tako do siebie, zamiast mamy czuwała przy mnie siostra.

Kiedy nazajutrz wzięto mnie na operację, z niecierpliwością oczekiwałem zdjęcia bandażi. Byłem niemal pewny, że przewidzę. Niestety, odróżniałem tylko światło. Na moje pytanie, dlaczego nie widzę, usłyszałem, że to przyjdzie stopniowo, później.

Uplynęły dwa tygodnie. Wreszcie jasno stało się, że operacja się nie udała i że widzieć nie będę. Przeżyłem to trochę, ale nie tak bardzo — żyłem się już ze swoim losem. Tylko mama była zalamana. Pewnego dnia, kiedy siedziałam przy mnie w szpitalu na korytarzu, ponieważ już chodźłem, podeszła do nas pani doktor Milewska, która asystowała przy mojej operacji. Zaczęła rozmawiać z mamą o szkole dla niewidomych organizowanej w Wilnie i radziła złożyć podanie o przyjęcie mnie w poczet jej uczniów. Szkoła miała ruszyć od września. Mama wahala się, jednak po następnej rozmowie z dr Milewską, zdecydowała się.

Od tej chwili właściwie zaczęła się nowa era w moim życiu. W kilka dni po owej rozmowie z dr Milewską wypisano mnie ze szpitala i wróciłem się z mamą do domu. Pod koniec sierpnia nadszedł nieoczekiwany list z pieszczotą: Kuratorium Opiekę nad Ociemniałymi w Wilnie. W piśmie zawiadamiano moich rodziców, iż

stał się film i spektakle telewizyjne odbierały w stopniu pozwalającym ocenić ich walory, oczywiście, jeżeli towarzysząca nam osoba widząca udzieli dodatkowych, niezbędnych wyjaśnień.

Pamiętam do dziś, jak przy pierwszej mojej bytności w teatrze poddałem się atmosferze tej sali cudownie akustycznej, szumiącej szmerem oczekiwania. Pamiętam ścisnienie serca w momencie przygasania światła, co pozwalało mi dostrzec moje resztki wzroku i zalegające z wolna ciemność. Szelest odsłanianej kurtyny i światło bijące ze sceny oznajmiało mi początek sztuki. Odął moją wyobraźnię pracowała gorączkowo, starając się odgadnąć, co dzieje się na scenie. W tym czasie każde słowo objaśnienia stawało się zbędne i tylko przeszkadzało. Po odgłosie stapania aktorów, po ich kwestiach dochodzących do mnie z blizszej i dalszej odległości mogłem odgadnąć, w którym miejscu sceny się znajdują, czy stoją, siedzą lub leżą. Brzęk naczyni i zmienione głosy dawały mi znać czy jedzą, piją lub palą. Najciekawsze wszakże mówiła mi barwa głosu, jego napięcie i wyrażanie uczuć. Niekiedy szelest kostiumu orientował mnie w jakiej sukni występuje aktorka.

Przez kilka następnych dni chodźłem jak nieprzytomny, przeżywałem w wysoce braźni wciąż na nowo sceny tragedii. Wtedy zafascynował mnie na całe życie.

Drugą moją pasją, a właściwie pierwszą, jeśli trzymać się chronologii, była literatura. Książki drukowane „sprowadzone z zagryza” przeczytałem już dawno i teraz dodatkowo sprowadzałem do siebie lekturę z Bydgoszczy, gdzie znajdowała się mała drukarnia brailłowska. Drukowały ostry i nieprzyjemny w czytaniu, a papier szorstki. Ale były to książki drukowane i do tego nie znane. Czytałem tak wytrwale, że wydawnictwo postanowiło mnie nagrodzić i przysłało na własność — pierwszą moją własną książkę brailłowską — powieść Kraszewskiego „Dzieci Starogo Miasta”. Chronię ją starannie przed zniszczeniem.

Koniec roku szkolnego był bardzo uszczuplony, dla mnie był to także dzień ukończenia szkoły powszechnej. Pani Maria Strzemińska pożegnała nas w imieniu grona pedagogicznego, życząc serdecznie sukcesów w życiu, potem ja dziękowałem kierownikowi i nauczycielom za wszystko, co dla mnie zrobili. Rozdano nam świadectwa. Z blizym sercem wzięłem swoją cenzurkę w dwóch egzemplarzach: pisaną czarnym drukiem i drukiem Braille’a i podalem ją mamie. Popatrzyła na moje piątkowe świadectwo ze łzami w oczach. Nie mogła mówić ze wzruszenia. Skończyłem szkołę dzięki jej mądrej stanowczości i wyrzeczeniom.

Wróciłam teraz do domu szczęśliwą — mama spokojna o mój los, dumna z mojej samodzielności i ja pełen ufności w przyszłość. Trzeba było wybrać dalszą drogę życia. Odrzuciłem propozycję pani Marii wstąpienia na kurs koszykarstwa. Chcia-

zostałem przyjęty do klasy pierwszej Szkoły Powszechnej Specjalnej w Wilnie, mieszczącej się przy ul. Antokolskiej 44.

Pisanie na papierze i czytanie sprawowało mi tyle trudności, iż wydawało mi się, że nigdy się tego nie nauczę. Punkty zlewaly się, a jeden rzutek mylił mi się z drugim. Pierwszą stronę książki drukowanej braillem, a pamiętam, że było to opowiadanie „Mały dobosz francuski”, czytałem chyba z godziną, drugą, już o wiele szybciej. Wreszcie po wielu usilnych staraniach zaczęłam czytać płynnie. Była to ogromna radość.

Nasze szkolne warsztaty koszykarskie



Collage — ANDRZEJ GRUN

stały na bardzo wysokim poziomie, ich wyroby zdobyły na Targach Północnych duży złoty medal. Mojej zasług w tym co prawda nie było. Nigdy lubiłem zajęć warsztatowych, choć umiałem wyplatać fotele wiklinowe, kosze do blizny, a nawet sianki. Robiłem je jednak kilkakrotnie dłużej niż inni. Wiedziałem, że nigdy nie zostanę koszykarzem.

Na półroczu miałem jeszcze dwie czwórki, więc przykładałem się do nauki ze wszystkich sił, żeby wzorem starszego rodzeństwa (J. Jadzi i Rozalki) skończyć chociaż szkołę średnią. Odrzucałem się od nauki tylko dla mojej nowej namiętności — teatru. Pierwsze zetknięcie z teatrem było dla mnie wstrząsem. Spotykałem się często z opinią, że teatr należy do galezi sztuki niedostępnym dla niewidomego, ponieważ dostarcza wrażeń przede wszystkim wizualnych. Nie bardziej mylnego! Nie tylko widowiska teatralne,

tem uczyć się dalej. Chciałem zostać nauczycielem, jak pani Maria i pracować dla dobra innych niewidomych. Ale ta droga była zamknięta przepięm: wymagano świadectwa zdrowia, a takiego niewidomemu w tym czasie nie wydawano. Na-leżało więc szukać innej drogi, ale jakiej? Nie bardzo wiedziałem. Rodzina daryła mnie miłością, a jednak nie była w stanie pokierować moimi jeszcze nieudolnymi krokami w samodzielnym życiu. W owych czasach prawie nikt z niewidomych nie uczęszczał do szkół średniej i nikt prawie nie rozumiał konieczności kształcenia niewidomych na średnim, czy wyższym poziomie. Moje marzenia nie mogły więc przybrać realnych kształtów i buntowałem się przeciwko temu. Na razie jechałem do domu po to, aby tam chyba pozostać.

Jechałem na spotkanie mojej drogi, nie wiedząc, dokąd mnie zaprowadzi.

NOTY POLITYCZNE

„THE SUNDAY TIMES” —
LONDYN

W wyniku znacznego osłabienia napięcia w Europie, szereg zachodnioeuropejskich rządów ma duże trudności w nakłanianiu swych społeczeństw do wydatków na zbrojenia. Być może, iż niektóre rządy widzą nawet mało sensu w należeniu do NATO.

„KOELNER STADT-ANZEIGER” —
KOLONIA

W swoje drugie 25-lecie wkracza NATO z wieloma kłopotami. Coraz cięższe staje się finansowe brzemie produkcji współczesnej broni, narodziła się konieczność coraz mniej gotowości do płacenia pieniędzy na wspólną obronę i dostarczanie żołnierzy. Przyszłość sojuszu jest jeszcze bardziej iglistą, niż przedtem. Dziś główne zadania sojuszu polegają na zachowaniu równowagi, stabilności i bezpieczeństwa w Europie. Istnieje także i inne zadanie: zmieniając dynamicznie swoje metody, próbować zmniejszać napięcie między Zachodem a Wschodem.

„INTERNATIONAL HERALD
TRIBUNE” — PARYŻ

Prezydent Georges Pompidou wspominał o swojej chorobie na posiedzeniu gabinetu w dniu 29 marca. Prezydent powiedział wtedy: „Jest to prawdziwa fizyczna próba i wyzwanie rzucone memu charakterowi. Zobaczmy co będzie dalej”. Minister przemysłu, handlu i rzemiosła rządu francuskiego tak wspomina ostatnie dni życia prezydenta: „Na kilku ostatnich posiedzeniach gabinetu zdumiewał nas, gdy wchodził na salę obrad z trudem stawiając kroki, a potem ciężko opadał na fotel. Ale zawsze umiał się zdobyć na miły uśmiech”.

„SVENSKA DAGBLADET” —
SZTOKHOLM

Pewnego pięknego dnia u wrót Chin, obrazowo mówiąc, stanęli goście. Byli to członkowie włoskiej ekspedycji podróżniczej. Ale nie wpuśczone ich. Fakt ten zwraca uwagę: wszak urzędujący w tym czasie, marszałek Polak, Ekspedycja, podążająca śladami tego największego europejskiego podróżnika średniowiecza, miała charakter bardziej sportowy, niż kulturalno-historyczny. Jej kierownikiem był znany alpinista włoski 44-letni Carlo Mauri. „Będzie wam trudno przejść przez Chiny posługując się własnymi środkami lokomocji” — powiedział uprzejmie w chińskiej ambasadzie w Rzymie, do której zwrócił się Mauri przed wyruszeniem w podróż. Wprawdzie w Kabinie chińskiego ambasadora dodał otuchy członkom ekspedycji, mówiąc: „Witajcie w Pekinie, nowy Marco Polo”, jednakże włoskim podróżnikom nie było sądzone zrealizować zamierzonych planów. Kiedy oświadczone wreszcie, że „tego roku zezwolenie na wjazd nie będzie wydane”, postanowili wyjechać do Pamiaru, żeby choć przez granicę rzucić spojrzenie na „kraj zakazany”.

„LIBRE BELGIQUE” —
BRUKSELA

Po tym, jak prezydent USA postawił faktycznie ultimatum krajom, które już od dawna są wiernymi sojusznikami Stanów Zjednoczonych, wielu obserwatorów zauważa, iż Waszyngton zaczął udzielać nagan krajom zachodnioeuropejskim. Dziś należy zauważyć, iż Waszyngton nabrał przyzwyczajenia obławiania Europy raz gorącym tuzem, raz zimnym. Dlatego Europejczyków na Zachodzie poddaje się podobnym napadom. Niewątpliwie dlatego, że w oczach Waszyngtonu są oni niezbyt ulegli, że wbił sobie do głowy, iż wolno im czasem do czasu ustalać własne zasady gry. Ale, być może, rzecz nie tylko w tym. W rzeczywistości Waszyngton liczy, iż znana wszystkim słabość Wspólnego Rynku pozwoli mu znów uzyskać w Zachodniej Europie tę bezsporną hegemonię, którą wysadził w powietrze jego polityczne błędy w Wietnamie i gdzie indziej. Można by się zastanawiać, czy Białe Dni, chce być zadowolonym z wszystkich i każdego z osobna? Bardzo umiarkowana reakcja zachodnioeuropejskich stolic po tak kategorycznych wypowiedziach prezydenta USA, pozwoliła zachować spokój. Ale Ameryka nie może w nieskończoność używać takiego tonu.

Porwania i wymuszanie okupu są dziś w Stanach Zjednoczonych zjawiskiem powszechnym. Porywają i gasterzy, i ekstremistów politycznych. Ostatnio prasa amerykańska znów zamieszcza obszernie publikacje o porwaniu tym razem dziennikarza Reginalda Murphy, czołowego pracownika gazety „Constitution” w Atlancie, stolicy stanu Georgia. Takie „przygody”, typowe dla amerykańskiego stylu życia, kończą się nieraz śmiercią. Porywacze Murphy’ego... zresztą nie uprzedzamy faktów, niech o tym wydarzeniu opowie porwany dziennikarz z „Constitution”.

... Kiedy wysoki, barczysty i bez smaku ubrany mężczyzna pojawił się w drzwiach mego mieszkania, wydało mi się od razu, że coś tu nie jest w porządku. — Nazywam się Lamond Woods — powiedział z wyraźnym południowym akcentem. Następnie wyjaśnił, iż chciałby podarować organizmowi charytatywnym 300.000 galonów paliwa do ogrzewania mieszkań i poprosił mnie o pomoc w dokonaniu wyboru. Wskazałem mu kilka takich organizacji i dodałem, że, być może, otrzyma z tego tytułu nawet pewne ulgi podatkowe. Nie mogłem z nim nie pojechać do jego adwokata, ponieważ gazyści z racji swego zawodu zawsze stykają się z nieznajomymi.

Ani ja, ani żona nie mogliśmy wówczas przewidzieć, iż było mi sądzone przeżyć 49 pełnych grozy godzin w rękach porywacza o dziwnych fantazjach politycznych, żądającego 700.000 dolarów okupu. Wsiadliśmy do samochodu Woodsa i wolno ruszyliśmy sprzed mego domu. Skręciliśmy w North-Road, a ja tymczasem zdążyłem mu się przyrzec. Ciemne włosy, gładko ogolona twarz, krótka szyja, ciemnobordowy kapelusz, załamany u góry na sposób kowbojski, zielona nylonowa kurtka i ciemnobordowe spodnie.

— Czy słyszał pan kiedykolwiek o „amerykańskiej armii rewolucyjnej” — spytał nagle.

— Nie.

— No, o tym porozmawiamy później. Oznaczało to, że nie pojeździemy do jego adwokata, żeby załatwić papierkową formalność związaną z darowizną paliwa. Wyjechał na 85 magistralną samochodową, rozważając na głos sprawy oszczędzania paliwa i przechwalając się, że nigdy nie przekracza dozwolonej szybkości. Mówił też o korporacjach, o rządzie i o prasie. Nagle ostro zahamował.

— Zagadaliśmy się, a ja przeskoczyłem zakręt — powiedział nieznajomy. Zawrócił na Beaver-Road i rozpiął kurtkę.

— Panie Murphy, pan został porwany — powiedział. — Wprowadzimy porządek w tym przekłętym kraju. Pokażemy jeszcze tej plugawej, lewakiej, liberalnej prasie!

Na zgieciu jego prawego łokcia zobaczyłem niklowany rewolwer. Mierzyl w mnie z odległości 30 centymetrów. Widziałem otwory po obu stronach bębniaka. To wyraźnie nie był straszak, lecz śmiertelnie niebezpieczna broń. Zmusił mnie do zasłonięcia oczu taśmą izolacyjną. Ledwie zdążyłem pomyśleć, że być może już po raz ostatni oglądam świat.

Zatrzymał samochód i związał mi ręce i nogi wepchnął do bagażnika. Był tam poduszka i koc. Szczęknął zamek bagażnika. Samochód ruszył i przez całą godzinę kluczył po ulicach. Leżąc na lewym boku, nie nie widząc i nie mogąc się nawet poruszyć byłem u granicy paniki. Do bagażnika przenikały gryzące spaliny. Pomyślałem, że mogę się udusić. Po upływie chyba godziny zjechał

z ulicy na drogę podjazdową i wprowadził samochód do garażu. Po chwili uchylił klapy bagażnika i spytał, do kogo mógłbym zadzwonić w redakcji. Podałem numer Jima Mintera. Jest redaktorem w „Constitution”. Ten zdolny dziennikarz, obdarzony zimną krwią, jest człowiekiem nieco cynicznym. Kiedy mój porywacz, tytułując siebie „pulkownikiem”, nakreślił numer redakcji, słuchawkę podniósł Jim.

— Jim — powiedziałem — tu mówi Reg Murphy. — Porwała mnie „amerykańska armia rewolucyjna”. — Jim parsknął śmiechem, sądząc, że go nabieram i odparł, że to zawsze lepiej niż gdyby to byli zwykli gangsterzy. Ledwie zdążyłem powiedzieć, że leżę w bagażniku samochodu, kiedy ten drań „pulkownik” wyrwał mi już słuchawkę z ręki.

Po pewnym czasie zaprowadzono mnie do domu. Znowu rozpoczęło się polityczne górnienie. Zaprzeczałem, starając się mówić najbardziej twardo, że

go w biurze. Żądanie okupu w wysokości 700.000 dolarów przyjęła jego sekretarka.

— No, cóż — powiedział „pulkownik” — musimy jechać do Noxville. Znowu wepchnięto mnie do bagażnika i znowu rozpoczęła się przerażająca jazda po ulicach. W bagażniku panował duszący żar. Samochód stanął, ruszył, znowu stanął. Usłyszałem, jak „pulkownik” otworzył drzwi budki telefonicznej. Kiedy znowu ruszyliśmy, powiedział: „Panie Murphy”, posłałem im taśmę magnetyczną i wskazałem, gdzie będzie. Nie wiedząc co odpowiedzieć, wydusiłem z siebie: „Dokonałe, pulkowniku”. Mówił z pierwszego siedzenia wystarczająco głośno, żebym mógł go usłyszeć w bagażniku. Tym razem jazda trwała trzy godziny. Kiedy zacząłem się dusić spalinami, uchylił klapy bagażnika i mogłem zacerpnąć kilka haustów świeżego powietrza. Przejechaliśmy jeszcze z milę i powtórnie znaleźliśmy się w garażu. Ledwie stałem na nogach. Weszliśmy do

lewizor. Około 10 wieczorem stałem przerwała program, żeby odtworzyć taśmę magnetyczną z moim tekstem. „Pulkownik” trochę się uspokoił. Próbowałem zasnąć. O 11, w telewizyjnym o mojej taśmie, komentarz był bardzo ostry. To mnie porządnie przeraziło. „Pulkownik” był niespokojny i wciąż spoglądał na okna.

W piątek rano „pulkownik” i jakaś kobieta wzięli mnie pod ramiona i doprowadzili do auta. Zaczęli się straszny dzień. Osem pięćdziesiąt godzin leżałem skurczony na tylnym siedzeniu auta, przykryty grubym kocem. Pomyślałem o dowodach, które mogłyby naprowadzić policję na ślad porywacza. Bardzo ostrożnie wyskubałem i ukryłem w kieszeniach kilka nitów z koca. Udało mi się zsunąć opaskę z oczu i dostrzec dwukolorową walcik, a także rodzaj i kolor tkaniny na siedzeniach. Zajął mi to kilka godzin. Później zaczęły się długie rozmowy z budek telefonicznych w sprawie mego uwolnienia. Leżąc pod kocem, przy nieustannym hałasie ruchu ulicznego, mało słyszałem. Ale radio w samochodzie nadało tekst ogłoszenia do prasy, zredagowany przez agentów FBI.

— Jesteśmy gotowi — powiedział przez radio jeden z agentów FBI. „Pulkownikowi” i mnie sprawiło to ogromną radość. Zatrzymaliśmy się na poboczu jakiejś drogi. Radio podało, że 700.000 dolarów będzie leżało w umówionym miejscu.

— Teraz jest pan tak bogaty, że może pan robić wszystko, co tylko pan zechce, „pulkowniku” — zauważyłem.

— To nie dla mnie, to dla armii — odpowiedział.

Ujechaliśmy kawałek drogi. „Pulkownik” wyszedł z samochodu, za chwilę wrócił i włączył starter. Ruszyliśmy. Radio było włączone. Kiedy żądany okup znalazł się już w jego rękach, powiedział: „Jak usłyszysz pan, że samochód odjechał, może pan zdjąć z oczu opaskę”. Wyprowadził mnie z samochodu, rozwiązał mi ręce i nogi. Odczułem chłód i twardą ziemię pod stopami. Słyszałem jak warkot samochodu tonie w chłodzie nocy. Byłem uratowany...

PRZESZŁOŚĆ W RĘKACH PORYWACZY

nie podzielałem jego przekonań politycznych, ale mogłem wysłuchać jego argumentów. Około jedenastej wieczorem „pulkownik” zrobił pauzę, żeby obejrzeć dziennik telewizyjny. Po dziesięciu minutach powiedział: „O naszej sprawie ani słowa”.

— Pulkownik — rzekłem — może oni po prostu jeszcze o niczym nie wiedzą.

— Telefonowałem — wyjaśnił krótko. W przedpokoju daty się słyszeć kroki.

— Oni porwali Shogarmana — oznajmił pulkownik.

— Pomocnika mera?

— Samego mera — grubiański przerwał pulkownik. — Cóż to, nie wie pan, kto rządzi miastem?

Zaprowadzono mnie do sypialni. Zaczęliśmy robić zapis magnetofonowy. Powiedziałem kilka słów, że ze mną wszystko w porządku, następnie próbowałem wtargnąć kilka słów na temat politycznych przekonań „pulkownika”. Ale tutaj on sam zaczął pleść bzdury do mikrofonu i znowu o „lewicowej prasie”.

— Zapis skasowali — powiedział później. — Nie chcą, żeby mój głos pozostał na taśmie magnetycznej.

Nazajutrz zrobiliśmy drugi zapis, po czym znowu związał mnie. Pod taśmą izolacyjną, która zakleiono mi oczy, włożył wate. Później „pulkownik” spytał, do którego z moich kolegów można zadzwonić. Wymieniłem adwokata Williama Zaczarę. Zatelefonował, ale czego się zresztą obawiałem, nie było

mieszkania. Tutaj „pulkownik” postanowił uświadomić mi dogłębnie o politycznych założeniach „amerykańskiej armii rewolucyjnej”. Powiedział też, że planuję moje porwanie rozważać „kandydatury” mera — M. Jacksona, Dona Heela z telewizji, senatora Johnsa i innych.

Niekiedy w tej jego gadaninie chwyciłem przebiegły ponurego dowcipu:

— Wykluźmy się jednak mera, ponieważ on by się nie zmiescił w bagażniku. Niech mu pan o tym powie przy okazji...

W tej chwili nie było mi do śmiechu, przede wszystkim interesowała mnie jego decyzja w sprawie mego losu. A on wciąż żądał, żebym zadawał mu pytania... Na pytanie o siłę „amerykańskiej armii rewolucyjnej”, odpowiedział, że liczy ona 223 chłopców i sześć „pulkowników”. „Armia”, jak powiedział, ma bomby plastikowe, jest uzbrojona w pistolety i broń automatyczną.

Około w pół do piątej po południu jeszcze raz znalazłem się w samochodzie. „Pulkownik” był cholernie poirytowany, że zapisu magnetofonowego, który przedkładałem rano, nie nadano w radio. Zaczął telefonować. Później wyjechał z miasta. Leżałem na tylnym siedzeniu, przykryty grubym kocem.

— Jack nie może znaleźć motelu — mruknął „pulkownik”.

Na koniec motel znalazł. Prowadzony przez porywacza znalazłem się w jakimś pokoju. Pulkownik włączył te-

jest „bezinteresowna współpraca”. Tym bardziej, że niedobory żywności osiagają rozmiary krytyczne, zapasy światła nigdy nie były jeszcze tak małe, jak obecnie.

O warunkach tej współpracy mówił min. A. Gromyko. Są to: bezwzględne poszanowanie praw każdego państwa do swobodnego rozporządzania własnymi bogactwami naturalnymi, całkowita rezygnacja z jakichkolwiek form dyskryminacji w kontaktach gospodarczych i handlowych, pomoc młodym państwom w rozbudowie ich bazy przemysłowej oraz — i przede wszystkim — zachowanie i utrwalenie pokoju. Radziecki minister przypomniał, że ZSRR nie tylko udziela pomocy młodym państwom, lecz również zaproponował redukcję budżetów wojskowych państw — stałych członków Rady Bezpieczeństwa właśnie z myślą o przeznaczeniu części zasobów na te drogie środki na pomoc dla krajów rozwijających się.

Dyskusja na nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia Ogólnego śledzona jest ze szczególną uwagą. Do tematu przyjdzie nam powrócić, a tymczasem przeniesmy się do Francji, gdzie rozwija się kampania wyborcza.

Pretendentów do fotela prezydenckiego było aż 32, ale, jak oświadczył francuski minister Spraw Zagranicznych — J. Chirac, na liście kandydatów do urzędu prezydenckiego znajduje się 14 nazwisk. Nie ma na niej przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego — Faure’a, który wycofał swą kandydaturę. W tej sytuacji najpoważniejszą tendencją do fotela prezydenckiego to: Chaban-Delmas, Ciscard d’Estaing oraz Mitterrand. Pierwsz dwaj reprezentują oboz rządowy, trzeci — opozycyjny lewicowy. Szanse każdego z wymienionych trójki są duże i już dziś przewiduje się, że pierwsza tura wyborów, w której wymagana jest bezwzględna większość, nie przyniesie rozstrzygnięcia. Według sondaży Instytutu Badań Opinii Publicznej — faworytem jest

obecnie Mitterrand, za którym opowiada się 36 proc. ankietowanych. Sądzi się jednak, że ostatecznie zwycięży Chaban-Delmas, nikła przewaga głosów. Ostatnio wypowiedział się on na temat polityki zagranicznej Francji. Oto najważniejszy fragment z przemówienia b. premiera:

„Francja znajduje się w sojuszu atlantyckim i w przyjaźni ze Stanami Zjednoczonymi. Ale Francuzi pragną aby ta wierność w niczym nie ograniczała wolności decyzji Francji... Ze Wschodem musimy nieustannie rozwijać politykę odprężenia, porozumienia i współpracy”.

Nazwisko nowego prezydenta będziemy znali dopiero 19 maja, ale już dziś wydaje się, że kanony polityki zagranicznej Francji nie zostaną naruszone.

Z licznych ważnych wydarzeń ostatniego okresu wymienimy jeszcze wizytę min. S. Olszowskiego w W. Brytanii i jego rozmowy z Wilsonem oraz Callaghanem, a także przywódcą opozycji — Heathem. Jak wynika ze wspólnego komunikatu polsko-brytyjskiego — minister Spraw Zagranicznych wiele uwagi poświęcił sytuacji międzynarodowej. Obie strony ustaliły m. in., że będą współpracować w celu wzmocnienia bezpieczeństwa w Europie oraz na rzecz rozbrojenia.

„Financial Times” stwierdza w nawiązaniu do tych ustaleń, iż nowy rząd labourystowski zrobił dobry początek w swojej polityce wobec krajów socjalistycznych. Inny dziennik — „Guardian” dodaje, że Polska jest pierwszym partnerem W. Brytanii w dziedzinie handlu spośród krajów RWPG.

W. SŁAWSKI

- SZCZYT UKŁADU WARSZAWSKIEGO
- O PRAWO DO BOGACTW NARODOWYCH
- 14 SPOŚRÓD 32 KANDYDATÓW

Kolejne posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Siron Układu Warszawskiego, które tym razem odbyło się w stolicy Polski, wzbudziło zainteresowanie świata jeszcze przed rozpoczęciem obrad. Praktyka dowodzi już bowiem, że najwyższy organ Układu Warszawskiego zabiera głos w najważniejszych sprawach międzynarodowych. Analizując sytuację i wyprowadzając praktyczne wnioski, zmieniając do umocnienia bezpieczeństwa narodów.

Dwudniowa narada w Warszawie przyniosła potwierdzenie oczekiwań — socjalistyczna „siódemka” wypowiedziała się w kwestiach dla świata najistotniejszych: pokoju i międzynarodowej współpracy. Zaapelowała o sukces Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, gdyż stoją przed nią cele „przekształcenia Europy w rejon rzeczywistej równowagi i współpracy wszystkich państw”, opowiedziała się za trwałym i sprawiedliwym pokojem na Bliskim Wschodzie oraz trwałym pokojem w Wietnamie, który zapewniłby słusze narodowe interesy Wietnamczyków, potępiła akty bezprawia i prześladowań działaczy demokratycznych w Chile...

grupy krajów „trzeciego świata”, wspartej przez większość członków ONZ. Dyskutuje się na niej nad problemami rozwoju gospodarczego i kwestią surowców. Problematyka gospodarcza nie po raz pierwszy znajduje się na forum tej organizacji. W tym o-brebie tematycznym działa też kilka wyspecjalizowanych agend. Jednak tym razem bezpośrednią przyczyną podjęcia problemu stał się kryzys paliwowo-energetyczny. Jak pisał w liście do sekretarza generalnego prezydent Algierii — Bumedien, „w rezultacie wspólnej akcji krajów produkujących ropę pojawiły się zmiany, które mogą służyć jako przykład i wskazówka do przyszłej współpracy międzynarodowej”. Dlatego „należy rozwiązać problemy związane z wszelkiego rodzaju surowcami”.

„Trzeci świat” jest w produkcji surowców prawdziwym potentatem. Daje on 90 proc. światowej produkcji chromu, cyny, manganu, 80 proc. boksytu i kobaltu, 50 proc. rud żelaza, cynku, miedzi, ołowiu i siarki... Oblicza się, że przez sto z górą lat wydobycie najważniejszych surowców wzrosło ponad 40-krotnie. Przed dwoma laty świat zaalarmowany został raportem tzw. klubu rzymskiego, w którym stwierdzono, że zasoby naturalne ziemi wyczerpią się w ciągu wieku. Podniosło to w cenę kopaliny.

Na inauguracyjnym posiedzeniu specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego sekretarza generalnego — K. Waldheim podkreślił, że istnieje ścisła współzależność zjawisk gospodarczych w różnych regionach świata i dlatego konieczna

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Kiedy młody Julian Tuwim opuścił w roku 1918 Łódź i wyjechał do stolicy, nikt nie przypuszczał zapewne, że niebawem zasłynął jako autor najgłośniejszego skandalu poetyckiego tamtych lat. Wspominając poecie pisze siostra Tuwima, p. Irena Tuwim, że zwiastunka nadciągającej sławy stała się właśnie ów rimboudowski wiersz „Wiosna”. Dookoła młodego poety rozpełtała się burza — z jednej strony hołdy, z drugiej zaś inwektywy i najwyższe potępienie.

Głosy ten wiersz datowany jest w „Dzielnicy” Tuwima — 21 kwietnia 1915. A zatem napisany został jeszcze w Łodzi. Ukazał się drukiem dopiero w Warszawie w czasopiśmie studenckim „Pro Arte et Studio” w roku 1918 w marcu.

I zaczęło się! Pierwszy odezwał się „Przegląd Poranny” pisząc: „z inicjatywy studentek zbierane są podpisy z protestem przeciw obecnej redakcji pisma studenckiego „Pro Arte et Studio” z powodu umieszczenia wiersza niejakiego J. Tuwima. Wiersz ten pod tytułem „Wiosna” pod pozorem chłosty ironicznej pełen jest

wyuzdanych słów i cynizmu... „Gazeta Poranna” natomiast opublikowała notatkę zatytułowaną bardzo znamienne — „Przeciw pornografii”. Czytamy w niej: „wiersz ten pozbawiony jakichkolwiek wartości literackich daje upust tak cynicznej i wyuzdanej rozpustności, że każdy rumienić się musi...”

Dalej już było w tym samym duchu — ton gazetowych protestów brzmiał jednakowo i dla dzisiejszego czytelnika — nieco zabawnie. Oto próbka stylu „Gońca Porannego”: „dytyramb o wiosnie jest dytyrambem na cześć rui i porobstwa (...) ze ścieku pornograficznych wyrażań, z wyuzdanych, pełnych lubieżności i sadystycznych wyrazach ohydy brudów miasta i rozczajających woni miejskiej kloaki, oddziaływa na młode dusze jak najzjadliwsza trucizna...” Takim był wówczas styl „Gońca Porannego”, któremu później Tuwim przypisał inną nazwę „Podogoniec poranny”, nazwę wielce popularną w owych latach. Za wiersz „Wiosna” atakowały Tuwima również wszystkie pisma

humorystyczne. Tylko „Sowizdrzał” redagowany przez Władysława Nawrockiego, jednego z najwybitniejszych wydawców i redaktorów ówczesnych lat — wziął Tuwima w obronę wykiwując ową prasową nagonkę na młodzieńczy wiersz.

Kampania prasowa przeciwko Tuwimowi, „Wiosnie” wkraczała także na łamy pisma, które wiersz opublikowało. Oto w 11 numerze „Pro Arte et Studio” wydrukowano „List otwarty” grupy studentów, protestujący przeciw wierszowi. Wydrukowano także utwór Stanisława Czosnowskiego „Moja wiosna”, będący odpowiedzią na „Wiosnę” Tuwima.

Niestety — p. Czosnowski, jeśli kiedyś wejdzie do przypisów literatury, to tylko dlatego, że to polemiści napisał. Jako poeta nie był i nie pozostał szerzej znany.

Dziś znów mamy wiosnę i minęło ponad pół wieku od tamtego poetyckiego skandalu. Myślę więc, że warto przypomnieć choć fragment wiersza, który wzburzył umysły czytelników 56 lat temu. Wiersz jest za długi, aby go w całości przytoczyć (znajduje się

w I tomie „Dzieli” str. 139) — ale fragmenty dadzą wyobrażenie o jego charakterze: „...I ciebie się pochwali Erzuchu na biodrach szerokich Niewiasto...”

Wydziecie dziś na rogi ulic, o kochanki Sprzedawac się oblesnym, trzęsącym się starcom...

I poczną sobą samców częstować samice...”

Jak widać jest to nieco brutalna wizja miasta. Ale jakże jej daleko do brutalności obrazów literackich lat siedemdziesiątych! Dziś — mimo wszystko — czytamy te strofy jak sielankę z pięknej epoki, rimboudowską wizję dwudziestowiecznego poety.

Jeśli przypominam dziś tę literacką ciekawostkę, to także dlatego, aby uzmysłowić sobie i innym jak względne i zawodne są wszelkie oceny dzieła sztuki. A już szczególnie oceny dokonywane w imię obrażonej moralności.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM
OKIEM

NA BETON!

Nie jestem pierwszym, który porusza ten temat, tym razem jednak sam temat porusza rękę, uzbrojoną w długopis. Dwa czy trzy artykuły i felietony w prasie warszawskiej, poświęcone manii zalwania na beton wszystkich co się da, spłynęły jak woda po kaczce. To moje pisanie też na pewno spłynie. Przysięgam, że nie można nie pisać.

Szkola przy ulicy Sterlinga, o której kilka lat chodziliśmy, moja córka, ma własny duży dziedziniec, świetnie nadający się na boisko sportowe. Tam było boisko, często dolatywały stamtąd hałasy dzieci, młodzieńcy kopali piłkę, dziewczęta skakały do siatki. Później cały duży plac zalano betonem i nikt już tam po lekcjach nie hałasuje. Gimnastykę od biedy można ćwiczyć, ale trzeba być samobójcą, żeby uganiać po takiej kamiennej pustyni za piłką. Najmniejszy upadek grozi bardzo bolesnym potłuczeniem, a łatwiej tu o upadek, niż na zwykłej ubitej ziemi, której stopa o ilej lepiej się trzyma.

Upaść amatorzy kroplenia do bramki przeniesli się na ulicę Armii Ludowej, róg Jaracza, gdzie również jest szkoła i również miała duży dziedziniec, ogrodzony od ulicy drucianą siatką, a w głębi zamknięty wysoki ślepa ścianą czynszowej kamienicy. Dobrze miejsce do biegów, skoków, tańczenia z piłką, robinsonad i dryblingów. Powinno nam wszystkim trochę zależeć na tym, żeby młodzieży zależało bardziej na dryblingach, niż na dużym jasnym w kiosku. Nikt nie zabraniał korzystać z boiska, ale oto od paru dni zwieziono tam sterty pokruszonych cegieł, rozsypano to i wnet zaczęło się (kosztem na pewno nie tysięcy złotych) betonowanie. Dlaczego, na litość boską, po co? Betonujemy parkingi, betonujemy szosy, nie zakuwamy w kamienną skorupę całego świata!

Uczciwie mówię, że nie odważyłbym się grać w siatkówkę, co jeszcze stosunkowo niedawno czyniłem z ogromną przyjemnością, na betonie. Skok i gwałtowny upadek na pewno skończyłyby się rozsypaniem starszego pana na elementy pierwsze. Obserwowanie harców najmłodszej dzieciarni po alejkach parkowych sprawiło mi zawsze sporą uciechę. Na malucha biegającego po marmurze, śliskiej, nieustępliwie twardej i groźnej skale nie mogę patrzeć — zamykam oczy ze strachu przed tym, co zaraz może się stać. Dawniej w zimowej porze polewano boiska wodą i

były ślizgawki. Od wielu lat nie ma ślizgawek i nie wiem, po co sprzedaje się w sklepach sportowych łyżwy. Po zabetonowaniu każdego placu trawnego już reszki nadziei. Ślizgawek nigdy już nie będzie. Beton nikt nie poleje wodą, bo to szkodzi betonowi. Beton kosztuje. Kto i w jakim sensie jest tym betonowaniem zainteresowany — nie mogę zgadnąć.

Podobną zagadkę stanowili dla mnie dwaj ubrodzeni w młoty jegomoście, którzy niedawno zaczęli tymi młotami rozbijać ogrodenie przed moim domem. Dom stoi odsunięty parę metrów od chodnika, szerokiego w tym miejscu i nie wymagającego poszerzenia. Tych parę metrów należało do nas, nie do „ciagu komunikacyjnego”. Był więc bardzo estetyczny, żelazny płot na niskiej podmurówce. To bardzo piękne, kiedy się znosi nadmiar murów, krat, parkanów i zasieków. To niezrozumiałe, kiedy nagłe znoszenie wszelkich ogrodzeń staje się obsesją i dogmatem. Nożnieniu ogrodzenia kto chce wchodzić do jednej z klatek schodowych, bo otwarte są przez całą dobę wrota na „ciąg komunikacyjny”, i albo uprawia w tej klatce daleko posunięty flirt, albo głośno i burzliwie zebranie młodzieńców przeważnie po łacinie, albo wykorzystuje to miejsce jako plac zabaw i szale. Strach wejść do własnego domu. Otóż mieszkam na parterze nie tylko narażone są na łatwy wgląd w życie rodzinne, ale po prostu nie można ich łatwo otworzyć. Co komu dało zniszczenie ogrodzenia, czym da się uzasadnić i zrownoważyć tyle niedogodności, tylu ludzi?

Zniszczenie ogrodzenia parków i chodzenie do parków przestało być przyjemnością. Lepiej nie mówić co tam się dzieje wieczorami i nocą. Rano widzimy ślady. Przez każdy trawnik widać kilkadziesiąt ścieżek, nikt bowiem nie liczy się z granicą pomiędzy trawnikiem a alejką. Ląwek nie ma w alejkach, bo stoją po krzakach, w klombach, czasem toną w stawach. Koło każdej ławki warstwa potłuczonego szkła, śmieci, rybie ości i puste flachy po „lajkoniku”. Nie mówię, że to łódzka specyfika. Specyficzną dzieciństwo w Parku Skażonym na Saskiej Kępie. Byłem tam w zeszłym roku. Nie ma ogrodzenia i nie ma parku. Jeszcze są śliczne Łazienki, bo ktoś mądry uznał łazienkowską kratę za zbylek. Jaka szkoda, że nie było zabytkiem ogrodzenie przed moim domem...

CWIEK

NAGI FAKT

Ostatnio — jak z upodobaniem donosi nasza prasa — modny stał się na Zachodzie tzw. streaking. Oznacza to słowo po prostu... paradowanie na gołasa. Streaking odbywa się masowo i indywidualnie, na przykład 1500 studentów uniwersytetu stanu Georgia wystąpiło nago jednocześnie. Bywają też streakingi na motocyklach, na meczach, na mrozie (w Alberta w Kanadzie paradowano nago przy 20-stopniowym mrozie...), przed posterunkami policji, a nawet... w parlamencie. Tak, jak to zrobił Mark Nunes, który wyłącznie w bułach narażających i goglach zademonstrował swoją nagość parlamentarzystom Michigan.

Nad streakingiem wielu rozdziera szaty, większość jednak śmieje się w głos. „Odgłosy” Cwika też się ostatnio włączył do refleksji nad streakingiem, co bardzo mu się chwali.

Skończył się tym mówią i piszą, trzeba chyba sięgnąć do historii. Oczywiście nie mam na myśli wspólnoty pierwotnej, tylko czasy nam bliższe. Nagi wypłynął nie jest niczym szczególnym, zdarzał się nieraz także w Polsce.

Dlatego, gdy tyle się pisze o nagich biegach na przelaz w Ameryce — chce przypomnieć pewną historię uwiecznioną w literaturze pamiętnikarskiej. Zdarzyło się to przed wojną w Warszawie, w środowisku pilotów myśliwskich, gdzie modne były wówczas lotnicze ekstrawagancje — m. in.

przebieg pod mostem Poniatowskiego.

Oto, co pisze Janusz Meissner w swoich wspomnieniach pt. „Wiatr w podszewkach”:

„Moda na te popisy (mimo surowych zakazów) panuje szczególnie wśród pilotów myśliwskich.

Wszyscy ich podziwiają, tylko nie Waska, który myśliwów nie lubi i gardzi ich wyczynami. — Wielka sztuka! — mówi wzruszając ramionami. — Według mnie przelecieć pod mostem na Balili albo na Spadzie to jest kaskada na mleku. Ale kto się odważy przelecieć goły przez ulicę z burdela na Litewskiej do lotniska?”

Brzmiało to jak wyzwanie, którego jednak żaden bohater nie odważył się podjąć.

— A ja przeleczę — mówi Zygmunt z mocą. — Chcę się założyć?”

Chętnych do zakładu jest kilku. Uzgadniają szczegółowo warunki tej imprezy i zakład staje.

Nazajutrz przed szóstą rano kontrahenci Waski zajmują stanowiska kontrolne od ulicy Litewskiej wzdłuż al. Szucha, pl. Unii i Puławskiej aż do bramy wejściowej na lotnisko. Ruch w mieście o tej porze jest jeszcze niewielki, ale podniecenie wśród świadków ryzykownego zakładu rośnie: waży się na ten czyn zachwylać, czy też w ostatniej chwili się cofnie? Złapka, co czy nie złapka? Uda mu się czy nie?

Punkt szóstą Zygmunt rusza do

startu. Ma na nogach buciki, na głowie oficerską czapkę, a zresztą jest goły jak turecki święty. Za to chody ma jak koń wysięgowy! Do pl. Unii Lubelskiej biegnie za nim tylko komplecik dziewcząt lekkich obcizajów i „mama” Kapuścińska, ale nikt go nie goni. Przechodnie — z pewną dozą słuszności — biorą go za wariata i ustępują mu z drogi. Dopiero od rogu Marszałkowskiej zaczyna się pościg: dwaj posterunkowi policji, a za nimi rosniaczka zgraja podnieconych obywateli. Wpadają na Puławską, pedza wzdłuż żelaznych sztachet oddzielających teren lotniska.

Motorniczy zatrzymują tramwaje na szynach, pośrodku jezdni stają dorozki i furmanki, na skrajach chodników gromadzą się gapię, ten i ów próbuje zabieć drogę szaleńcowi. Lecz on jest lżejszy i szybszy: ma pięćdziesiąt metrów przewagi nad pogonią, na której czele klusują zzieleni przedstawiciele władzy. Oto już przebiega przez otwartą bramę i finiszuje w kierunku małego domku kawalerskiego, w którym mieszka kilku jego przyjaciół, a przystojny wartownik zatrzymuje wrota przed inwazją posterunkowych i cywilów. Jednocześnie — jak spod ziemi — zjawia się oficer inspekcyjny pułku.

— Panowie czego sobie życzą? — Goniący wariat!

— Schował się w tym budynku! Każ pan otworzyć, panie poruczniku, musimy go złapać!

— Ale inspekcyjny okazuje się zimnym formalistą:

— Bardzo mi przykro, ale tu teren wojskowy. Wstęp bez przepustek wzbroniony.

— Ten facet się tu ukrył. Leciał goły przez ulicę!

— A, to frzaba co było złapać na ulicy. Tutaj już mi się nim

zajmiemy, bez waszej pomocy.

Pertraktacje toczą się dalej bez skutku, potem następuje interwencja wezwanej telefonicznie żandarmerii wojskowej, lecz wszystkie te zabiegi są już spóźnione: świadkowie widzieli gołymi plecami i posładki seicagnon; ktoś z nich zdola rozpoznać złośliwego wariata w niemiłym ubraniu oficerze technicznym 12 eskadry?

Uważny czytelnik spostrzeżł zapewne pewną niekonsekwencję w tekście Meissnera — raz pisze on o gołym rekordzisie per Waskę, raz per Zygmunt. Dodaje wszakże informację, że był to oficer techniczny dwunastej eskadry stacjonującej na Puławskiej.

Ponieważ dość dokładnie śledzę literaturę pamiętnikarską, bez trudu odnalazłem wspomnienia Zygmunta Waskowskiego. „Obyszył w ciekawych czasach”. Nieścisły — pamiętnik notuje wydarzenia dopiero od sierpnia 1939 r., więc nie ma w nim słowa na temat rozrywki czasu pokoju.

Alisi wpadła mi do ręki książka innego polskiego pilota, Bohdana Areta. „Powietrze pełne śmiechu”. I tam oto — na stronie 28 — czytamy relację Meissnera z tego „rekordu” i słowa Areta: „Podam tylko, że ów dzielny lotnik w wiele, wiele lat później napisał i opublikował interesujące wspomnienie zatytułowane „Obyszył w ciekawych czasach...”

A więc jesteśmy w domu. Niech nam Ameryka nie imponuje streakingiem, bo myśmy go już uprawiali w Warszawie w latach trzydziestych. Jest to dostojnie i w przeności nagi fakt historyczny.

JERZY WILMAŃSKI

SPORT

Po dziwnej zimie bez śniegu przyszła równie dziwna wiosna. Takie ni to, ni owo — trochę w niej zimą, a trochę zimy. Raz — prawie letni upał, następnego dnia — zimowe chłody. A wszystkiemu — podejrzewam — winna jest Kometka Kohoutka, która też była bardzo dziwna, bo tak na prawdę to nikt jej nie widział, ale też nikt nie może powiedzieć, że jej nie było.

Podejrzewam więc, że ta dziwna Kometka Kohoutka zaczęła się gdzieś w Kosmosie i wysłała do nas dziwne promienie, które powodują, że nagle ludzie zaczynają biegać goło po ulicach, a kruki w Alpach szwajcarskich zachowują się jak w filmie Alfreda Hitchcocka „Praki” i atakują zwierzęta i ludzi.

Promienie te działają również na sportowców. I chyba dlatego nasi hokeiści przez cały czas Mistrzostw Świata w Helsinkach grali źle. Na końcu zmierowali z drużyną NRD, a wszyscy okrzyknęli ten remis jako nasze wielkie zwycięstwo. Historia, tak widać lubi się powtarzać. Mamy już drugi remis na drugim Mistrzostwach Świata, który okazał się naszym wielkim sukcesem. Pozostaliśmy w światowej ekstraklasie hokejowej, ale tylko dlatego, że drużyna NRD nie mogła sobie poradzić z nienajlepiej grającymi Polakami.

Było to „niezwykłe, hokejowe mistrzostwo świata” — jak

DYWERSJA z KOSMOSU

krzyczały tytuły doniesień prasowych. Najpierw wyskoczyły afery dopingowe. Miedzy innymi Ulf Nilsson nalykał się efdryny i Szwedzi musieli oddać ten mecz walkowerem Polsce. Kto wie, jakby to było, gdyby nie Kohoutek podsunął Szwedowi ten głupi pomysł, bo z najlepszymi nie stać nas nawet było na honorowe przegranie. Przykład: 17 do 0 w meczu z mistrzem świata, drużyną ZSRR.

Potem był strajk techników radia i telewizji fińskiej. Strach pomyśleć, co będzie jeśli ten wredny Kohoutek porazi swoimi promieniami techników radia i telewizji w NRF, kiedy nasi dzielni piłkarze będą bronić honoru polskiej piłki nożnej. I to honoru poważnie już nadwreżonego. Jak pisała po meczu w Stuttgarcie monachijaska „Sueddeutsche Zeitung” drużyna VFB Stuttgart „zakupiła z Polaków”. Sprawozdawca sportowej tej gazety uważa — i słusznie — że trener Kazimierz Górski musi jeszcze sporo popracować nad swoimi chłopcami, jeśli chce, aby przebrnęli oni przez następny etap mistrzowskich eliminacji.

Trener Kazimierz Górski wiele uwagi przykładł do spotkań w Stuttgarcie, czemu dawał wyraz w prasowych wywiadach, ale uważając słusznie, że dobre wrażenie wywarł teraz na gospodarzach Mistrzostw będzie procentowało w czerwcowych meczach. Niestety, jedenastu Polaków zawiodło swego

trenera, a komentator „Frankfurter Allgemeine Zeitung” stwierdził, że brak Polakom wykolenia i umiejętności rozgrywania akcji ofensywnych. Belgijscy „czerwone diabły” też zawiodli się na Polakach, którzy zagrali wprawdzie znacznie lepiej niż w Stuttgarcie, ale stać ich było tylko na honorowy remis. W związku z tym belgijska „Gazette van Antwerpen” pisała:

„To nie było widowisko godne oglądania przy wypełnionym stadionie, a więc kibice przeczuwali, co się będzie działo na boisku, bo zjawili się tylko w liczbie 10 tys. Mistrzowie olimpijscy i zwycięzcy z Wembley grali za wolno, a co dziwne bawili się piłką nawet w groźnych sytuacjach przed nosem własnego bramkarza”.

Prognozy zagranicznej prasy są na razie niewesołe. Kometka Kohoutka uwzględniła się na naszych piłkarzy i łączy ją wie dla czego. W każdym razie nie ma zupełnej pewności, czy jeśli obecni rekonwalescenci wrócą na boisko, to ta wredna Kometka nie porazi swymi promieniami innych. Ale bądźmy dobrej nadziei, bo tylko to nam pozostało.

Tę iskierkę nadziei daje nam zresztą również przekłeta Kometka, która swymi promieniami czyni wszystko na opak. I dlatego mamy na przykład suchą wiosnę w Polsce, choć zawsze bywały tu wiosenne roztopy i

wylewały rzeki. Natomiast w suchej Afryce, dzięki owym dziwnym promieniom 22 — najtrudniejszy z trudnych — Rajd Safari kapali się w strugach ulewnej deszczu i w błocie. Na 100 samochodów do mety dotarło ledwie 16, a wśród renomowanych firm, takich jak „Alfa Romeo”, „BMW”, „Toyota” czy „Volvo” zrezygnował z dalszej jazdy również „Polski Fiat”. Przegraliśmy przynajmniej w dobrym towarzystwie.

Jeśli więc wszystko dzieje się na opak, to być może i nam w różnych mistrzowskich zmaganiach zaświeci „dobra gwiazda” i nie będziemy musieli ulec popularnej na Zachodzie modzie rozbierania się. Był już kiedyś taki zwyczaj w Sopocie, że przegrywający musieli zdejmować z siebie sportową odzież i nago biec do szatni. Zdarzyło się to nawet swego czasu w Polsce na pierwszoligowym meczu między CWKS a „Wisłą” Kraków. Wtedy to kilku zawodników „Wisły” oddało swoje stroje kibicom i tylko w slipkach pognęło do szatni. Dziś byłoby znacznie gorzej. Do szatni musieliby biec nawet bez slipów, co jest modne, ale chyba niezbyt przyjemnie i wygodne.

Hokeistów przed rozbieranką uratowała drużyna NRD. Kto uratuje piłkarzy? Zobaczymy.

BOGDA MADEJ

MAGAZYN

OSTATNIE OSTRZEŻENIE

Dość, panowie scenarzyści, przebrała się miarka! To nie może trwać dłużej. Coraz częściej w dialogach naszych rodzimych filmów pojawiają się słowa, lub nawet całe zwroty uwłaczające duchowi języka ojczystego. I moralności uwłaczające również. Oto wyrażenia, których zakazania domagamy się od dnia dzisiejszego: „bordlić” lub rzadziej „ganimedować” (o czynnościach rolnika w sadzie), „sa-

tyna” (na przystojną ciemną blondynkę), „koryfe” (o kie-

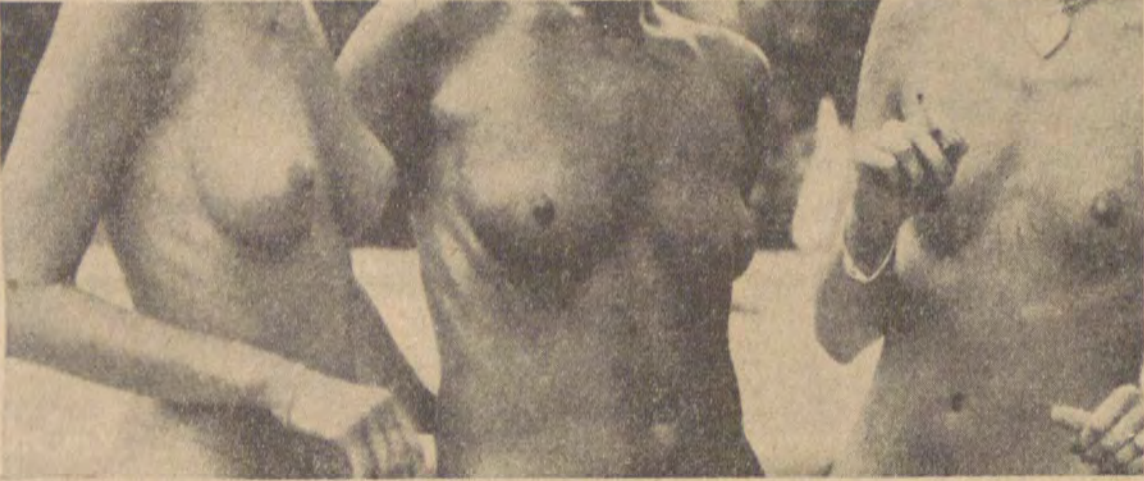
MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...”

KIG

rowniku wydziału), „cycać” (przesadzać w górę), „pupa-

nie” (przesadzenie w dół), „okularka” (czynienie dobrze), „gestnieć w mroku” (być niemoralnym), „kakać” (wiadomo), „Lema macać” (patrzeć w przyszłość), „Kopernika dusić” (to samo w przeszłość ale pesymistycznie), oraz „umkć”, (zgaść, przygaść, lecieć ku). Jakże fatalnie brzmią te brzmiały w ciemnej kinowej sali... My nie chcemy „gestnieć w mroku” i ostrzegamy, że słysząc wyżej cytowane słowa, natychmiast opuścimy salę kinową!



Fot. Archiwum

TA PANI JEST ZDROWA...

W odpowiedzi na apel „Magazynka” z dnia 1 kwietnia wzywający do nadsyłania fotografii zdrowych dziewcząt, które nie boją się przeziębienia — otrzymaliśmy serię fotek od p. Andrzeja Polomskiego z Pabianic. Autor zdjęć zapewnia nas, że ta pani jest zdrowa. W istocie na to wygląda... Dziękujemy.



CZOLEM, NOWATORZY!!

„Małe Kino” cieszy się i chwali młodego reżysera, który idąc z duchem czasu, zamierza po raz pierwszy wystawić „Wesele” Wyspiańskiego w chłopskiej wprawdzie izbie, ale za to na parkiecie i z telewizorem. Prosimy jednak pamiętać o paputkach, by Czepec nie porysował podłogi.

PEDAGOGICZNY POEMAT TELEWIZYJNY

Niemalą kłopotów miała z małym Areczkiem jego mamusia. Chłopiec, gdy tylko zobaczył w telewizorze Stanisława Mikulskiego, zaraz nadygotał się i brzydko wykrzywił. Nie pomogło kłeczenie na grochu, a nawet dosypywanie pieprzu do zupki owocowej. Mały wciąż robił swoje. Chcąc jednaką zawstydzić i opamiętać, z niemym trudem zaprosiła mamusia do domu prawdziwego Stanisława Mikulskiego. — „Patrz Areczku, kto przyszedł do ciebie z telewizorką!” — powiedziała do oszołomionego chłopca, chcąc pedagogicznie wyzyskać element zaskoczenia. Areczek przez chwilę nie odpowiedział, potem normalnie nadął się i brzydko wykrzywił. Stanisławowi Mikulskiemu zrobiło się bardzo głupio i poszedł do domu. Mamusia sprzedała telewizor i nigdy już nie zaprasza znanych aktorów. Areczek przeżył to, przestał się wykrzywiać, czasem tylko nadygotał się jeszcze brzydko.



ASTROLOG

W „Dzienniku Łódzkim” Artur Rubinstein awansował do roli astrologa. Nie wiedząc czemu zdjęcie wybitnego pianisty, bez podpisu jednak, ilustruje niedzielny horoskop.

Niby drobniak, ale jak byśmy przyjęli fotografię na przykład Paderewskiego obok przepisów na sznycel wołowy?

CYTATY

„Formuła musi się dotrzeć” — oświadczył na łamach naszej ulubionej gazety centralnej Marek Jaworski. Styl — jak sądzimy — także.

W tym samym numerze gazety profesor J.Z.J. pisze: „Kultura literacka kształtuje się przez obcowanie zarówno ze współczesnością jak i tradycją”. Jak widać powtarzanie (truizmów) jest matką wiedzy.

WALIECZKA

W sklepie spożywczym przy ulicy Piotrkowskiej wystawiono w witrynie bardzo gustowną walczykę. Mieści się w niej (w specjalnych pojemniczkach) dwa i pół litra gorzalki plus pięć kiełbasków. Producent pewnie zakwalifikował wyrób do nowości — handel wystawił w witrynie, tylko nikt nie pomyślał, że specjalna walczyka do gorzalki to pomysł cokolwiek głupi.

ARGUMENTACJA

Łódzcy bibliofile odnaleźli w Poznaniu nieznaną wiersz K.I. Gałczyńskiego. Tym razem nie jest to żart primaaprilisowy. Otóż w latach międzywojennych ogłoszono w Poznaniu konkurs na wiersz o książce. Gałczyński wziął udział w tym konkursie i ten właśnie utwór odnaleziono w archiwach.

Z okazji Festiwalu Poezji w Łodzi ukazał się ma bibliofilski druk wydany staraniem Towarzystwa Przyjaciół Książki. Początkowo w edycji tego bibliofilskiego wydawnictwa partycypować miała pewna znana łódzka firma wydawnicza.

Niestety — odstąpiono od współudziału. Argument: „Gałczyński podobno pił wódkę i to często”. Bez komentarzy.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

ALEKSANDER KLUGE

ZEM

Zem widzi Charlesa w towarzystwie nieznanej sobie Angeli. Jak to określiła Fricka, Charles siedzi na „waskiej chusteczce”. Zem wcale się dobrze nie przypatrzyła, lecz natychmiast cofnęła o kilka kroków zamknęła drzwi lokalu, bez słowa zaczęła beczeć i pobiegła na swoje miejsce pracy, do „Mario”, gdzie zapłaciła za dwie kawy i lampkę słodkiego wina, szybko wypijając zamówione trunki. Do godziny piętnastej w napięciu biegła swoją drogą między siedmioma stolikami, które tworzyły jej rewir. Południowa fala gości przyniosła tym razem wielu podobnych, którzy swoimi walczykami zastawili jej drogę i niewiele zamawiali.

Jaskinia lub przystanek pracy:

Zem czeka na polecenia. Pomiędzy gośćmi jest Ruth. Zem należy do każdego, kto się o nią zatroszczy; kto jest gotowy ją wykorzystać. Zem potrzebny jest nowy typ wyzyskiwacza, będącego w stanie wyzyskiwać bez przerwy. Katastrofy następują wtedy, gdy wyzysk czasowo ustaje. Zem zaczęła jako kelnerka we Frankfurcie nad Menem.

Fricka, Albertina. Przez wąskie przejście około baru wytaczają się jak dwa okryty wojenne: Albertina, Fricka, Albertina jak gdyby środek ciała eksplodował — ramiona, nogi, wielkie ręce, kark. Brzuch powinna ściskać pasem, ale miała na sobie szeroka kryzę, od pępka do piersi. Dziś obie dziewczyny nie nie zarobiły. Zem, Suka Zem, siedząc na swoim czarnym krześle przy kasie, strzeże wykorzystanych bonów. Zem, która w pogoni za Charlesem przeszukuje ulicę Cesarską; która nagabywana przez jakiegoś przechodnia, usuwa się na bok; którą zatrzymują policjanci i która — jeśli ich zobaczy — natychmiast rezygnuje ze swoich planów: znajdując się u boku Charlesa nie żywi żadnych uczuć, jest szalenie do niego przywiązana.

Ponieważ trzeba poddać się jakiemuś mężczyźnie, gdyż w przeciwnym razie Zem bałaby się stracić kontakt z życiem: znajduje sobie Charlesa, „dobrego” mężczyznę. W obawie, że mogłaby trafić na złego. Miłość i nieszczęście są tak ze sobą splecione, iż Zem

nie mogłaby powiedzieć, czy pragnie miłości, czy nieszczęścia; wybór jest zresztą możliwy tylko teoretycznie. Jak pies, który tak siada, że nie można na niego nie nadebrać, Zem ustawia pułapki, wciąga nieszczęście w swoje pułapki.

Charles poszukuje cięższych osób, silniejszych podnieć. Lubi to, co kryje się za pełną pupą chwilowej partnerki, będącej kimś innym niż Zem. Pozwala się wykorzystywać, aby nie odpaść — ze strachu, że rzeczywistość umknie mu w taki sam sposób, w jaki umknie miłośnikowi towarzysza. Jeśli zabraknie mu pieniędzy. Może Charles powinien raczej zrezygnować z przynędy z grubą Angeli? Rzeczowość i uczciwość, ale także niepewność stosunków między Charlesem i Zem, pić alkohol zamiast rozmawiać. Plakad zamiast rozmawiać.

Zem została zatrzymana i dlatego spóźniła się na spotkanie na rogu ulic Weberskiej i Cesarskiej. Nie zastawszy Charlesa czekała, po czym zaczęła przeszukiwać ulicę Cesarską. Do „La Plaza” nie została wpuszczona ze względu na swój płaski biust. Biegła więc dalej, charakterystycznym dla niej krokiem, uderzając kolanem o kolano. Wysokie obcasy klęły stopy. Bolało ją w krzyżu, a ponieważ obawiała się, że wkrótce zacznie krwawić, pobiegła do domu, gdzie gospodyni zapytała ją o Charlesa i zażądała zwrotu wypożyczonego płaszcza. Zem założyła inne buty i przebrała się, znów wybiegła na poszukiwanie Charlesa.

Odnalazła go wieczorem w pewnej knajpie rybackiej w towarzystwie jakiegoś sierżanta. Ze zmęczeniem przeczesywał sobie włosy wszystkimi pięcioma palcami. Usiłował opisać sierżantowi jakiś lokal. Zem siedziała w milczeniu obok rozmawiających mężczyzn.

Gdy w końcu jakaś prostytutka przyszła po sierżanta, Charles nie chciał go puścić. Zem poczuła się lepiej, gdy sierżant poszedł. Usiłowała przekonać Charlesa, aby wyszli z lokalu. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła biec na ulicy obok niego lub robić coś innego, ale czuła się równie szczęśliwa, że może siedzieć tu przy nim, aczkolwiek nie miała pojęcia, o czym mówić z tym pijanym mężczyzną.

Zem nie wiedziała co robić, żeby Gitty i Kitty nie przysiadły się do stolika Charlesa. Należały one do owej nielicznej grupy dobrze prosperujących prostitutek, które odwiedzały najgrypiarzy. Ubięły się w eleganckie czarne suknie. Miały młode białe ciała, białe, bez najmniejszej plamki na czołach, karkach, ramionach. Siedziała przy stole milcząco.

Pożyczła Charlesowi pieniądze, które potrzebował na zapłatę rachunku za napoje. Chętnie wyszła z Charlesem i obiema bogatymi dziewczynami. Ale nie zaproponowała tego w obawie, że propozycja zostanie odrzucona. W rezultacie z czterema prostytutkami poszła do kina na ostatni seans.

Po wyjściu z kina rozplakała się, jako że była przemęczona, a także dlatego, że nie mogła zapomnieć owych dwóch bogatych prostitutek. Zaczęła szukać Charlesa. Na ulicy Cesarskiej zagadnął ją ktoś, po czym z jednym, który bardzo nalegał, piła sok porzeczkowy, gdyż nie mogła znaleźć Charlesa. W końcu zerwała się i znalazła Charlesa, ograbanego, w jakiejś piwni przy ulicy Monachijskiej.

Rozgniewana rzuciła szynkarzowi, który jej zdaniem był odpowiedzialny za grabież, kilka marek, i wzięła pijanego Charlesa pod rękę. Biegła u boku Charlesa ulicą Cesarską. Czekala na to cały dzień. Kolo jakiegoś skweru natknęli się na otwarty samochód osobowy. Weszli do niego. Tęskniła do swojego zajęcia i nie miała żadnego konceptu rozmowy, jakkolwiek była również „szczęśliwa”, że nie musi dłużej szukać Charlesa. Chwyliła go za rękę i chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej odwagi. Charles rozpiął jej suknię, czuła narastające w niej napięcie, usiłowała bronić się, ale bez powodzenia. Broniła się nie przed Charlesem, nie chciała po prostu zrobić czegoś fałszywego. Leżała naga, z zamkniętymi oczami, na tylnym siedzeniu wozu. I czekała. Ale Charles ją tylko pomógł, po czym położył się obok i przytulał ją do siebie.

Mar-la, ale nie miała odwagi wyciągnąć swoich szmatek spod wielkiego ciała Charlesa. Oczywiście wciąż zamknięte, była szczęśliwa, że on jest przy niej, ale mar-la. Później przypomniała sobie, że o trzeciej nad ranem kończy się Charlesowi przepustka.

Ubrała się w ciastny wóz i pobiegła do domu, aby przynieść pieniądze. Taksówką przywołała Charlesa do koszar. Charles, który w czasie jazdy taksówką spał, podszedł do wartownika. Zem widzi go jeszcze, rozmawiającego z żołnierzem, gdy samochód rusza z miejsca, a ona patrzy przez tylną szybę na Charlesa. Dzień minął w ten sposób względnie szczęśliwie.

Tłumaczył
HENRYK WANDOWSKI

Fragment opowiadania pisarza zachodnioniemieckiego Aleksandra Kluge, z najnowszej tomu prozy pt. „Lernprozesse mit tödlichem Ausgang”.